Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 7. Marca 1880 r. **Tom X**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 10.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

O CHLEBIE LITERACKIM.

II.

W poprzednim artykule była mowa o tém, jakim był chleb literacki w ubiegłych wiekach; dawała go protekcja możnych, więc nie kosztował on wielkich wysiłków pracy, ale się opłacał zwykle utratą niezależności.

W dziewiętnastym wieku w społeczeństwie europejskiem radykalne i rażące pozachodziły zmiany: stan średni doszedł do pełnoletniości i zrzuciwszy z siebie kuratelę dwóch wyższych stanów, które dotychczas wszystko w ręku swojem skupiały, wystąpił jako siła niezależna i potężna. Do tej pełnoletności doprowadziły go praca i oświata: praca mu dała pieniądze bez przyzwyczajeń zbytkowych; oświata go wyniosła nad poziom dawnego stanowiska towarzyskiego i pod względem umysłowych potrzeb zrównała go z najwyższemi warstwami.

Ten nowy układ warstw społecznych ogromny wpływ wywarł na los literatów. Zamiast ciasnego koła dworskiej pałacowej publiczności, miał teraz literat przed sobą tłumy czytelników umiejących go pojąć i ocenić, potrzebujących pokarmu umysłowego i umysłowej rozrywki, i mających dość pieniędzy, aby sobie tego zbytku pozwolić. Dość napisać książkę, któraby powszechnie się podobała, powszechne obudziła zajęcie, wnet się zyskuje wziętość, która już dalszym płodom literackim pisarza toruje drogę do pokupu i zapewnia mu byt materjalny wygodny, czasem nawet zbytkowny. Literat nie potrzebuje już oglądać się na protekcję możnych; z drugiej strony i możni po utracie przywilejów politycznych osłabieni i pod względem materjalnym nie spieszą się z kosztowną protekcją.

Pisząc dla tej nowej wielogłowej chlebodawczyni swojej, literat nie potrzebuje sławić jej herbów, wielbić jej cnót, roztapiać się w uczuciach wdzięczności, jak to czynili nieraz dawniejsi poeci, literaci, dla swoich chlebodawców. I owszem pod tym względem niezależność jego posuwa się do najdalszych granic: wolno mu nawet w oczy drwić z szanownej pryncypałki, wykrywać jej wady i błędy, wymyślać wreszcie na nią niestworzone rzeczy: nic to jego materjalnego stanowiska nie naraża, a przeciwnie często się przyczynia do popularności. Są wprawdzie pewne rzeczy, pewne świętości, których mu obrażać nie wolno, ale zakres tych rzeczy nietykalnych jest bardzo szczupły, a zresztą wielkim talentom i tam nawet wolno bezkarnie swawolić, czego przykładem Heine, który nie stracił popularności u Niemców, choć się zjadliwie z ich patrjotyzmu wyśmiewał.

Zdawałoby się zatem, że niezależność nowoczesnego literata jest zupełną, że nie potrzebuje się on stosować do nikogo i do niczego i że słucha tylko własnych natchnień i własnego sumienia. Zdawałoby się, że w tej zmianie, jaka zaszła w stosunku literata do społeczeństwa, wszystko na dobre wyszło, nic na złe.

Niestety, tak nie jest. W dawniejszym protekcyjnym stosunku zwracano głównie uwagę na jakość utworów literackich; większy lub mniejszy dobrobyt literata mało zależał od ilości jego utworów, pensja, dotacja, którą otrzymywał pisarz, była nagrodą jego talentu bez względu na obfitość. Dla tego pisarz nie potrzebował się spieszyć w pisaniu, mógł powoli, spokojnie obmyślać budowę całości, misternie rzeźbić i wykończać szczegóły, ciesząc się myślą, że utwór jego w doskonałej formie na świat się ukaże. Miał on tylko dwa cele przed sobą: podobać się swemu protektorowi i pozyskać nieśmiertelną sławę, i jeżeli protektor, co się nieraz zdarzało, był prawdziwym znawcą sztuki, poezji, literatury, to dwa te cele zlewały się w jeden cel: utworzenia arcydzieła, któreby przetrwało wieki i narody.

W dzisiejszym konkurencyjnym stosunku, publiczność wynagradza autora nietylko podług jakości, ale i podług ilości dzieł jego. Wprawdzie pierwszorzędny pisarz lepiej jest płatny od prostego wyrobnika literackiego, ale obaj zarówno są płatni od wiersza: im więcej wierszy napiszą, tym większą otrzymają zapłatę. Imię autora wiele znaczy i od niego wiele zależy cena wiersza, ale kto raz sobie zdobył popularność, ten otrzyma jednakowe honorarjum, czy napisze trochę lepiej, czy gorzej: różnica w zapłacie będzie już tylko zależała od długości czy szerokości utworu. Dla tego dzisiejszy literat potrójny cel ma przed sobą: naprzód podobać się publiczności, zyskać popularność i pokupność; powtóre w jak najkrótszym czasie jak najwięcej napisać; potrzecie nareszcie nadać swoim dziełom, o ile się da, wartość nieprzemijającą.

Trzy te cele trudniej pogodzić z sobą, niż dwa cele dawniejszego pisarza. Naprzód wyższa oświata i wytworniejszy smak nigdy prawie nie są udziałem całej czytającej publiczności, a tylko pewnych jej warstw wyższych, tak zwanej inteligencji, literat zaś piszący tylko dla tej ostatniej naraża się na to, że nie będzie przystępnym dla szerszego i liczniejszego koła czytelników, czyli, że nie będzie tak popularnym i pokupnym, jak ci, co się zastosowują do potrzeb i smaku massy. Gdzie tylko więc nagli gwałtowna potrzeba, albo gdzie chciwość rozgłosu i zysku przeważa nad szacunkiem dla swego powołania, tam literat z mistrza, kierownika, przewodnika publiczności staje się jej sługą i dworakiem, wgruncie rzeczy nieróżnym od tych sług i dworaków literackich, jakich było sporo między dawniejszymi literatami na dworach królów i panów. Jest również pochlebcą, z tą tylko różnicą, że nie schlebia ambicji swej wielogłowej pani, ale tylko jej złemu smakowi, jej niedojrzałym poglądom, jej niższym popędom. Dość spojrzeć na powieściopisarstwo i dziennikarstwo francuskie dzisiejszego stulecia: jakaż tam moc romansideł, feljetonów, artykułów różnego rodzaju w imię zysku zastosowanych do najgorszego smaku publiczności, i ten smak jej podtrzymujących.

Ale przypuściwszy wreszcie, iż cała publiczność jest tak oświeconą i tak estetycznie wykształconą, iż pisarz nie potrzebuje zniżać

swoich natchnień, poglądów, ażeby zostać popularnym, to jeszcze i w takim razie da się tylko pierwszy cel z trzecim pogodzić, to jest popularność ze sławą u potomnych, drugi zaś cel obfitość pracy literackiej, od której miara zysku zależy, zawsze będzie ciągnął w inną stronę, nakłaniać będzie do pośpiechu i nie da się pogodzić z miarową, swobodną i spokojną pracą fantazji, jedynie zdolną tworzyć nieśmiertelne rzeczy. Ten pospiech, to staranie się o obfitość pisanej pracy, widzimy nie tylko u drugorzędnych literatów, u głodnego literackiego cygaństwa, ale nawet u najznakomitszych pisarzy. Nawet Dickens, największy bezwątpienia powieścio-pisarz XIX. wieku, mniejby może był rozwlekłym, harmonijniejszą by dawał budowę swoim powieściom, gdyby się nie oglądał na zarobek przywiązany do ilości wierszy.

Tak więc widzimy, że stanowisko literata w nowem społeczeństwie, jeżeli jest bardziej niezależnem, niż dawniej, to tylko warunkowo, a mianowicie pod warunkiem że pisarz gotów jest poprzestać na mniejszym zarobku i dla większych zysków nie poświęci tego zadowolenia wewnętrznego, jakie daje praca sumienna, spokojna, nie obliczona na efekt chwilowy, ale na trwałe, choć późne może uznanie.

Wszystkie uwagi wypisane w tym artykule odnoszą się do stanowiska literata w nowoczesnem społeczeństwie europejskiem w ogóle; o specjalnie polskim chlebie literackim trzeba będzie jeszcze osobno pomówić.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

(Rozpacz — ruina — i częściowe wybawienie; przyczem dr. Mitręga będzie miał zaszczyt wykonać zdumiewające salto mortale polityczne na nieosiodłanym Machiawelu).

Światło dzienne wdzierało się już jak mogło do lokalu, w którym zostawiliśmy zakochanego i aresztowanego naszego bohatera, ale kraty i okiennice opierały się tak dzielnie tej inwazji, że kiedy Stanisław otworzył oczy, zaledwie mógł rozróżnić otaczające go przedmioty. W pierwszej chwili mógł sobie wyobrazić, że jak Ulises, ma sposobność zwiedzenia pól elizejskich, jakieś bowiem cienie widocznie dręczone wewnętrznym niepokojem snuły się tędy i owędy przed jego oczyma, w tem szarem półświetle, w jakiem prawdopodobnie duchy greckie ukazać się musiały klasycznym oczom króla Ithaki. Garderoba ich psuła atoli wszelkie złudzenie w tym kierunku, i w niczem nie przypominała kroju ani fasonu dostawców nadwornych ze Sparty lub Mykeny. Składała się ona owszem z różnych sztuk należących do XIX stulecia, ale tak źle zakonserwowanych, że chyba tylko złość archeologów milicyjskich mogła im odmówić honorowego przytułku w jakiem muzeum.

Jeden z tych cieniów krążył bliżej Stanisława, i przypatrywał mu się ciekawie. Był to człowieczek mający cztery stopy wzrostu, i nos zaledwie widzialny, któremu wszakże matka przyroda, ażeby się nie skarżył, że pozbawiła go stronniczo wszelkich praw do uwagi ludzkiej, wynagrodziła drobne, guzikowe rozmiary niezmiernie żywem zabarwieniem, przypominającem piwonję. Na nieszczęście powstało z czasem w jego sąsiedztwie i w innych okolicach tego zajmującego oblicza mnóstwo wypukłości do niego podobnych, które współzawodniczyły z nim co do wielkości i koloru z takiem powodzeniem, że zdawało się, jakoby cień, o którym mowa, zamiast jednego zwykłego nosa posiadał kilkanaście zdrobniałych. Zielone niegdyś, a obecnie mocno zarumienione oczy, włosy w nieładzie i broda koloru czarnego, urozmaiconego fragmentami pierza i słomy, i okropnie brudne ręce kompletowały całość, zawartą w surducie, wskutek świeżej jakiejś katastrofy pozbawionym jednego z ostatnich dwóch swoich guzików, tego mianowicie, który mógł pod szyją posłużyć do zatajenia zupełnego braku nietylko kołnierzyka, ale i dalszego jego ciągu, *respective*, koszuli.

Stanisław spojrzał na tę postać z niejakim niepokojem i machinalnie sięgnął ręką do kieszeni. Obawa jego była płonną — zegarek i portmonetka znajdowały się na swojem miejscu. Cień zresztą trzymał się tak chwiejnie na nogach, i miał wzrok tak błędny, że prawdopodobnie tylko »zbytnie puhary« zrobiły go na tę noc towarzyszem p. Wołodeckiego, nie zaś bezpośredni jaki zamach na cudzą własność.

Zatoczył się jak mógł najbliżej Stanisława, dotknął go poufale ręką, i zapytał tonem wzywającym do zwierzeń:

— Za kradzież?

Stanisław zerwał się z pryczy — ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że właściwie jeszcze sam nic nie wie, o co jest posądzonym albo oskarzonym.

— Nie — odpowiedział sucho.

— M-hm! wiem już — rzekł cień. Za politykę! To głupia rzecz; ja nigdy nie siedzę za politykę. Chociaż, jeżeli tak dalej będzie na świecie, że człowiek pracy będzie musiał ginąć z głodu, i z pragnienia... ej, słuchaj-no, kolego — przerwał nagle — nie masz przy sobie z parę *duniów*, posłalibyśmy po sznapsa? Tak mi jakoś sucho w gardle...

Stanisław milczał i modlił się w duchu, żeby go los uwolnił czemprędzej od tego interlokutora. Cień spojrzał na niego pogardliwie i mruknął:

— Panicz! Co sobie policja myśli, nasyłać nam, tutaj jeszcze, arystokrację! Polityków! Żeby choć przynajmniej zamknęli jakiego porządnego *dolorystę*, co się z człowiekiem napije...

— *Dolorysta?* Co to jest dolorysta? — zapytał jakiś inny cień, leżący w cieniu na drugiej »pryczy«.

— Jakto, niezdaro, ty nie wiesz co to jest doloryzm? Doloryzm, to jest ta polityka, której ja się chwycę, jeżeli, jak powiadam, dalej tak się będzie działo na świecie, że porządny człowiek, człowiek pracy, będzie musiał ginąć z głodu i pragnienia... Aa, jakże mię coś piecze w gardle! Doloryzm, mój kochany, to jest zasada, *ein Prinzip*, jak mówią Koszamerdynery!

— A licho ciebie tam rozumie z twoją zasadą i z pryncem!

— Czekaj, ja ci to wytłumaczę, żebyś nie chodził po świecie, jak ślepe cielę, ale ażebyś wiedział, co ci się należy. Masz kredę?

— Mam.

— No, to daj. Widzisz, tu na pryczy robię dziesięć kresek równej długości. Tak równymi, jak te kreski, byli ludzie, kiedy ich Pan Bóg stworzył. Ale oto ta pierwsza kreska była sprytniejsza od innych, i zabrała od każdej z tamtych po kawałku, o tak, widzisz (tu odmazywał kawałek od każdej kreski i przyczyniał go pierwszej) aż nakoniec urosła w dziesięćnasób. Druga znowu kreska była sprytniejsza od pozostałych ośmiu, i także urosła, podczas gdy one malały. Trzecia kreska, także ruchliwa i przebiegła, urosła kosztem siedmiu ostatnich, z których, jak widzisz, mało już co zostało. Otóż doloryzm, to moja ręka, ślinię, mażę długie kreski, a co od nich wziąłem, rozdzielam między tamtych siedm. To jest doloryzm, bractwo od siedmiu boleści, nazwane tak z łacińska.

— A niech mię piorun trzaśnie — zawołał cień Nr. II. — Piędziesiąt lat żyję na świecie, a nie wiedziałem, że jestem dolorystą! Toż kiedy dobraliśmy się do szuflady u Moszka, było nas »jak raz« siedmiu, i zrobiliśmy tak, jak ty mówisz: wzięliśmy u Moszka, i podzieliliśmy się jeden z drugim. Tylko nie wiedzieliśmy, że to jest doloryzm, i że o tem uczą w książkach.

— Głupiś — rzekł pierwszy cień — to co wyście zrobili, to był rozbój, a to, co ja mówię, to jest zasada, rozumiesz?

Stanisław nie słyszał dalszego ciągu tej budującej rozmowy, w tej chwili bowiem nadszedł dozorca, który go zawezwał, ażeby się z nim udał do pana ober-inspektora.

Tam wskazano mu krzesło, i zadano mu najprzód kilka pytań ogólnikowych, jak się nazywa, zkąd rodem, i. t. d. Następnie, ober-inspektor przedłożył mu pierwszy papier, który wczoraj zabrano mu w jego mieszkaniu.

— Czy znasz pan tę broszurę?

— Znam.

— Czy przyznajesz się pan do jej posiadania?

— Przyznaję.

— Czy znasz pan jej treść?

— Oczywiście, jest to przecież program p. Słomomłockiego, który rozdawano publicznie w obecności p. inspektora na zgromadzeniu przedwyborczem. Mam jeszcze parę egzemplarzy w domu, bo mi ich kilka wetknięto w rękę przy wejściu do sali.

— *Protocoll!* zawołał p. oberinspektor, i spisano tak skrzętnie zeznania Stanisława, jak gdyby w istocie zawierały coś nieznanego i nowego.

— A ten list znany jest panu? — zapytał ponownie oberinspektor, pokazując drugi papier.

— Nie przypominam sobie, musiałbym go przeczytać.

— Ja go panu odczytam: »Kochany Stasiu! Nie ma najmniejszej nadziei, wydobyć co od Antka. Jestem w tem samem położeniu, co ty, bo zarwał mię także. Twój *socius doloris*, Michał.« Uważasz pan, »*socius doloris!*«

— Ach, to jest list od kolegi mojego Michała Drewalskiego z Sokołowa. Poręczyłem dług za drugiego kolegę, Antoniego Pumpmeiera, którego przeniesiono także do Sokołowa, i musiałem zapłacić. Udałem się tedy do Drewalskiego, żeby mu przypomniał zobowiązanie, i oto, co mi odpisał.

— Tak, ale nie powiadasz nam pan, co znaczą te wyrazy: socius *doloris*. Nie tajno panu zapewne, że istnieją sekty niebezpieczne, zwane dolorystami i socjalistami, z którémi ten podpis na liście pana Drewalskiego ma widoczny związek. Pada na pana podejrzenie, że jesteś pan dolorystą!

— Ależ na miłość Boga, panie oberinspektorze, socius doloris znaczy przecież: towarzysz boleści, i Drewalski nazwał się tak, ponieważ jego, równie jak mnie, zarwał Pumpmeier.

— Ba, ale gdzie dowód?

— Dowód? W słowniku łacińskim!

— Mój panie, upominam pana, ażebyś wobec władzy zachowywał się przyzwoicie, i nie pozwalał sobie żadnych żartów! Obecnie możesz się pan oddalić, ale jako dobry przyjaciel radzę panu, ażebyś pan zaniechał stosunków z socjalistami i dolorystami, bo w przeciwnym razie, przypiszesz pan sam sobie złe skutki, które ztąd wynikną. Żegnam.

Stanisław słyszał, odchodząc, jak inspektorowie pomrukiwali jeden do drugiego: *ein gefährliches Individuum* i *Sehr verschmitzt!* i. t. p. i uśmiechnął się na myśl, że władza podejrzywała go tylko o teoretyczny »doloryzm«, podczas gdy cień w areszcie imputował mu praktyczne zastosowanie tej »zasady«. Bawił go także drugi cień, który nie znając z pewnością Moliera sparodiował tak naiwnie słynnego po wszystkie wieki p. Jourdain, co to przez 40 lat mówił prozą, nie wiedząc o tem.

W tym humorystycznym nastroju umysłu zaszedł do gmachu szkolnego, dokąd wypadało mu udać się przedewszystkiem, zważywszy, że już była dziesiąta godzina, a i bez tego opuścił już był dwie lekcje. Postanowił pójść do dyrektora i wytłumaczyć się, z jakiej przyczyny nie dopełnił obowiązku. Naraz usłyszał za sobą galop konia i głos znajomy:

— Dzień dobry szanownemu profesorowi!

Oglądnął się — był to dr. Mitręga, wierzchem, na jednym ze swoich szpaków. Siodło i uzda były nowe, prosto od rymarza. Zmiana ta w sposobie lokomocji szanownego doktora pochodziła po części ztąd, że Marcin załatwiać musiał przed południem różne czynności redakcyjne, i nie mógł przeto powozić, a po części ztąd, że było przecież nie rycerską rzeczą dla młodego hidalga od samego rana jeździć dorożką. Stanisław mimowoli spojrzał na wierzchowca, którego jeździec zatrzymał i poklepał ręką po szyi.

— Prawda, że nie zła szkapka? — rzekł doktor.

— Mało się znam na koniach — była naturalna odpowiedź.

— Nazywa się Machiawel — objaśnił dalej p. redaktor *Orędowniczki*.

— Hm, hm — odezwał się Stanisław, jak gdyby chciał powiedzieć: Ktoby się tego spodziewał!

— Zobaczyłem profesora z daleka, i dopędziłem, bo mam pilny interes, z którego, jak się spodziewam, będziemy obydwaj zadowoleni. Kiedy pan będziesz wolnym?

— Za godzinę.

— A więc, za godzinę, dajmy na to, w cukierni Gościckiego, czy mogę liczyć na pana?

— Nie omieszkam się stawić.

— Słowo?

— Słowo.

— A więc, do widzenia!

— Do widzenia.

Osiodłany Machiawel, usilnie napomniany podpiętkami i fiszbinową laseczką, ruszył z miejsca owym nieprawidłowym czwałem, który doprowadza do rozpaczy każdego prawdziwego kawalerzystę, i który u przemytników brodzkich nazywa się *hatałajkaniem*. Mam nadzieję, że Akademia Umiejętności wcieli ten wyraz do swojego słownika prowincjonalizmów.

Stanisław wszedł do gmachu szkolnego i udał się do kancelarji dyrektora, który go przyjął z jakąś dziwnie grobową miną.

— Cóż to wszystko ma znaczyć — zapytał, podnosząc jakiś dokument ze stołu.

Stanisław sądził, że chodzi o niedotrzymanie godzin, i zaczął opowiadać, co się stało.

— Niepotrzebnie się pan tłumaczysz— rzekł dyrektor — oto jest reskrypt z oberkomisarjatu. Posada pańska nie była jeszcze stałą, i jesteś pan z niej usuniętym bez podania powodów; ja zaś otrzymuję nosa za to, iż panowie mięszacie się do polityki.

Był to cios okropny dla biednego pedagoga. Sprawiedliwość nakazuje mnie przyznać, że kiedy nareszcie uwierzył, że to, co mu mówiono, było prawdą, przyszła mu najpierw na myśl matka. Miał on bowiem matkę sraruszkę, która mieszkała w Stawiczanach, w owym dworku z ogródkiem, o którym rozmawiał z Śmiechowskim. Nie miała żadnego utrzymania, a zgrzybiały wiek nie pozwalał jej pracować. Z przychodu swojego, który wynosił sześdziesiąt idealników miesięcznie, Stanisław chciał jej dawać połowę, ale nie przyjmowała nigdy więcej, jak dwadzieścia. To jej wystarczało, i jeszcze przez każdą »okazję« posyłała swemu Stasiowi różne przysmaki, porządki kawalerskie, itp. Teraz mogło jej braknąć chleba, bo w Milicji i Landwerji niełatwo o zarobek, zwłaszcza jeżeli ten, który chce zarabiać, umie aż tyle, że może być profesorem. Ba, gdyby umiał tylko tyle, co dr. Mitręga! Jeździłby na Machiawelu, albo powozem. Straszna gorycz napełniła serce Stanisława, nie mógł przemówić ani słowa, kiedy mu dyrektor radził, ażeby się udał z przedstawieniem do Jego Ekselencji, pana Ober-Komisarza, skoro ten wróci z wód. Moja matka, moja biedna matka! westchnął tylko, i wyszedł, sam nie wiedząc dokąd. Z kolei drugi ból, niemniej dotkliwy, zapukał do jego piersi. Liczył on na to, że wkrótce otrzyma stałą posadę z wyższą znacznie pensją, i że będzie mógł ośmielić się przemówić do panny Natalji, jak tego pragnął od dawna. Teraz potrzeba było wyrzec się nawet marzeń o pannie Natalji, i myśleć o tem, co począć z samym sobą. Co począć!...

Zwykłym obyczajem wszystkich ludzi, na których spadło nieprzewidziane jakie nieszczęście, Stanisław błąkał się długo bez celu po Wilkowie, zaledwie poznając znajomych i odpowiadając od rzeczy na pytania, jakie mu niektórzy z nich zadawali. W ten sposób, znalazł się przypadkiem przed cukiernią Gościckiego, która umieszczoną była jakoś tak, że do niej, jak do Rzymu, wszystkie drogi w Wilkowie prowadziły. Ocknął się, jakby ze snu, i przypomniał sobie słowo, dane dr. Mitrędze.

— Nie jestem usposobionym do interesów, ani do rozmowy — pomyślał — ale dałem słowo, a ponieważ go widzę w oknie cukierni, więc wejdę...

Dr. Mitręga oczekiwał go rzeczywiście, i to z upragnieniem. Zaprosił go do osobnego stolika na »biszkokt i kieliszek madery«, ponieważ wszystkie owe ulubione gdzieindziej wódki i zakąski uważał za istne barbarzyństwo.

— Panie Stanisławie — rzekł — wejdę... który to poeta powiedział: in media...

— Horacy. In medias res.

— Otóż, in medias res: czy bardzo panu zależy na pańskiej posadzie pedagogicznej?

Stanisław wlepił w niego oczy ze zdumieniem. Dr. Mitręga miał do niego interes przed godziną, widocznie tedy już przed godziną wiedział, że mu odebrano posadę. Złamany na duszy pedagog nie mógł atoli dać słowami wyrazu swoim myślom i wpatrzył się tylko smutnie w pana redaktora. Dobrze zrobił, dr. Mitręga nie był bowiem tak bardzo wszechwiedzącym, jak się zdawało.

— Ile wynosi najwyższa pensja profesora? — zapytał dalej.

— Sto idealników miesięcznie — odparł melancholijnie Stanisław.

— Sto idealników, dla takiego człowieka jak pan! Porzuć pan ten niewdzięczny zawód, a damy panu od razu... stodwadzieścia. (C. d. n.)

KUPIEC WENECKI

FARSA SZEKSPIRA

STUDJUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

Nie jeden z łaskawych czytelników zoczywszy powyższy nagłówek, zdziwi się, że *Kupiec Wenecki,* owa jak go zowią perła w szeregu dramatycznych dzieł Szekspira, i która mianowicie według wyroczni krytyków między komedjami jego celować ma głębokim poglądem i naj-

*

subtelniejszem cieniowaniem charakterów, w tem studjum nazwaną jest farsą. A przecież mam nadzieję, że mi się uda usprawiedliwić ową klasyfikację, co więcej, wykazać, że utwór ten tylko jako farsa znaczenie mieć i, analizowanym być może; z tego stanowiska zaś na największe pochwały zasługuje.

Już uczony i bystrooki Rumelin w studjach swoich nad tym samym przedmiotem wypowiedział zdanie, że historja Szyloka i skryptu jego dłużnego zakrawa na farsę, pomimo wszystkich pozorów srogości. Ale taż historja jest w sztuce organicznie spojoną z powiastką o trzech szkatułkach.

Powiastka zaś co Francuzi „un Conte“ Niemcy „ein Märchen zowią“, nie może według reguł dramaturgji być przedmiotem, ani komedji ani tak zwanego dramatu. Można ją jako taką przenieść na teatralne deski (czyli z pomyślnym skutkiem tego poczynione dotąd próby nie dowiodły) ale pod warunkiem aby zachowała pierwotną swą cechę; takiemi są prócz indyjskich dramatów sztuki Włocha Gozza i Szyllera „Turandot“. Przeciwnie w *Kupcu Weneckim* obok powiastki o trzech szkatułkach występuje świat aż nadto realistyczny, bankructwa, kredytu, skryptów dłużnych przepadłych, jurystycznych wywodów, i jurystycznych wykrętów, dalej łakomstwo i kradzież, nakoniec zmiana religji, u jednych wymuszona, u drugich rozwiązłością spowodowana. Taka mięszanina zaś mieścić może się tylko w farsie, która świat przewrócony w miniaturze przedstawia i najsprzeczniejsze żywioły w sobie mieści. Ale zastrzegamy sobie, że nie można mieć tu na oku nowoczesne farsy. Lecz jak Szekspir w „śnie nocy letniej“ i w „burzy“, przekazał potomności na wszystkie czasy wzory niedoścignione dotąd *dramatu czarodziejskiego,* tak znowu w *Kupcu Weneckim* wykazał czem winna być farsa, i to dla wykończenia i dokładności obrazu, farsa ze wszystkiemi swemi wybrykami jak n. p., że ten który jak Szylok, jest przedmiotem nienawiści gminu, dla uradowania tegoż, ostatecznie i na duszy i na ciele najdotkliwsze szkody ponieść musi.

Czem-że jest w rzeczy samej bogata dziedziczka „Porcja“, jeżeli nie ową *czarodziejką,* niezbędną we wszystkich farsach co dziadów naszych bawiły, która na występie ukazuje się w obłokach by błogosławić ziemskim swym ulubieńcom udającym się na pielgrzymkę, a gdy ci wpadają w różnorodne kłopoty, spuszcza się z wyżyn swoich na ziemię, by ich wybawić i wszystko ku dobremu skierować; zachodzi tylko ta różnica, że te czarodziejki wydają się nam obecnie czcze, głupkowate i nudne, kiedy przeciwnie Porcja Szekspira, póki zmysłu estetycznego ludziom nie zabraknie, żyć będzie w niespożytym blasku i uroku. Nawet skłonność jej do „Bassania“ tak mało na to odszczególnie nie zasługującego, i który stara się o jej rękę, by długi swe pieniędzmi jej zapłacić, zbliża Porcję do owych czarodziejek dawnych fars, gdyż te jak wiadomo w wyborze ulubieńców swoich nie były wybrednemi.

Buffonerją ale pełną poezji nazwać można wystąpienie dwóch książąt-rycerzy o rękę Porcji.

Czarny marokański książę jest typem doskonałym samochwalcy na pół dzikiego. Oblicze moje (mówi) strachem nabawiło niejednego dzielnego rycerza. Najpiękniejsze dziewice kraju mego kochały się we mnie. Przysięgam na ten miecz, co pokonał trzy razy Sułtana Solimana, że na spojrzenia najwięcej złowrogie zważać nie będę; gotów jestem ssące niedźwiadki wyrwać niedźwiedzicy, drażnić lwa głodnego abym pani rękę tu twą trzymał. Hańbiłbym sam siebie gdybym wątpił, że godzien jej jestem. (Akt drugi, pierwsza i siódma scena).

Zupełnie inaczej przedstawia się drugi konkurent o rękę Porcji *książę Aragonji.* Mowy jego pełne mądrości — przysłowia szczere złoto.

Z trzech szkatułek, których wybór stanowić ma o ręce bogatej dziedziczki, pogardza on złotą z napisem: „Kto mnie wybierze, uzyska to, czego *wielu* ludzi sobie życzy“. Bo ci wielu: mówi książę, to jest nieświadomy tłum, który wybiera według pozorów, a w rdzeń rzeczy nie wchodzi. Nie wybiorę nigdy tego, czego wielu sobie życzy, bo z ciemną tłuszczą bratać się nie chcę.

Ale za to czuje książę pociąg do *srebrnej* szkatułki z napisem, „kto mnie wybierze, uzyska to, na co zasługuje“. „Bo któż, mówi, może gonić za szczęściem i honorami, jeżeli tych nie godzien? Niech nikt się nie pyszni niezasłużonemi zaszczytami. O! bodaj to zasoby, władza i godności tylko na prawej drodze dostępnemi były, a zaszczyty tylko zasługą okupione“ i t. d. (Akt drugi scena dziewiąta.)

Lecz gdy podnosi pokrywkę szkatułki, znajduje w niej wizerunek błazna. Przeto błaznem jest ten, co takie prawdy wygłasza, i takie życzenia objawia; błaznem, kto nie idzie za głosem tłumu.

Jest to rys ponuro-melancholiczny, który całą farsę uszlachetnia, ale i z nią licuje. Ogółem cały ów epizod o trzech szkatułkach tem więcej podziwu i zajęcia wzbudza, iż jest po większej części samorodnym płodem Szekspira, bo źródła jego, zbiór powieści pod tytułem „gesta romanorum“ i jedna nowella *Bocaccia,* dostarczyły mu tylko surowego materjału.

Osobistością dla farsy bardzo udatną jest ów śpiący na jawie głupkowato-nerwowy *Antonio Kupiec Wenecki,* od którego sztuka nazwaną została. „Kupiec Królewski“ jak go mianują, pełen bogactw i znaczenia, ale nie wie nawet co posiada. W scenie pierwszej pierwszego aktu mówi: dzięki szczęśliwej mojej gwieździe nie powierzyłem jednemu okrętowi całego mienia mojego, ani też złożyłem je w jednej miejscowości. Nie zawisłem słownie od udania lub nieudania się przedsiębiorstw tegorocznych. A zaraz potem odzywa się do *Bassania* „wiesz *całe mienie* moje jest na morzu, nie mam ni gotówki ni towarów, którebym mógł dać w zastaw.“

Aby umożliwić niezamożnemu przyjacielowi swojemu staranie się o rękę bogatej Porcji, zaciąga on u zaciętego swego wroga żyda Szyloka dług dla niego na *imię swoje,* dług bezprocentowy, ale z warunkiem, że w razie niedotrzymania terminu, żyd ma prawo funt mięsa wyciąć z jego ciała! Podczas układów krwawemi obelgami wierzyciela swego bezustannie rozjątrza. (Akt pierwszy scena trzecia). Zawarty układ wydaje się nawet lekkomyślnemu Bassanio niebezpiecznym, ale Antonio nie zadaje sobie pracy obliczyć w przybliżeniu, kiedy przybędą okręta jego, i on zatem z długu swego będzie mógł się uiścić. Wystawia skrypt na miesięcy trzy, bo sądzi, że za dwa miesiące, mieć będzie dziesięć razy więcej gotówki niż potrzeba na wykupno onegoż, a tymczasem trzy pierwsze jego okręta dopiero w czwartym miesiącu zawinęły do portu. (Akt pierwszy scena trzecia, i piąty scena ostatnia.)

Tożsamo niedołęstwo, gdy czas spłaty zbliżał się. Ani Antonio, ani Basanio, dla którego to przecież było sprawą honorową, nie myślą o zapewnieniu sobie innych funduszów, na przypadek nie przybycia oczekiwanych okrętów, a przecież Antonio był pierwszym kupcem Wenecji; kredyt jego nie był naruszonym; cóż więc łatwiej, jak z niego korzystać. On przeciwnie, jak ciele do rzezalni idzie oddać się w ręce Szyloka, by ten mu według umowy funt mięsa z pod serca wyciął. Okoliczność, że kiedy ratunek tak był łatwym i bliskim, Antonio ani przyjaciele jego nie korzystali z tego, stawia równie sztukę na poziomie farsy, gdzie o prawdopodobieństwo nikt nie pyta.

Niżej jeszcze od Antonia stoi Basanio wybraniec i narzeczony Porcji.

W zamożnej Wenecji mógł on łatwo w pierwszych bankierskich domach osiągnąć pożyczkę za poręką, którą mu ofiarował Antonio. On zaś udaje się do Szyloka, z którym na dobrej, prawie przyjacielskiej stopie żyje, co już złe światło na niego rzuca, ale podało mu sposobność przekonania się, jak wielką była nienawiść, którą żywił Szylok przeciw jego przyjacielowi Antonio. Nie powinien więc był przenigdy na to zezwolić, by tenże dla niego w styczność z wrogiem swoim wchodził.

Już okoliczność, że Szylok nie żądał procentów od pożyczki, ale brał się do ciała dłużnika, winna była mu być przestrogą, że coś złego się święci.

A teraz, nim przejdziemy do Szyloka, należy się jeszcze słów kilka zacnej córce jego *Jessyce,* i zięciowi *Lorenzo.* Lorenzo jest tylko lekko szkicowanym.

Że żydówkę potajemnie z domu jej ojca uprowadza, dając przytem jej instrukcję, jak ma ojca okraść, że następnie skradzione pieniądze przejada i przepija, a na końcu hymny na cześć muzyki i przeczystej nocy spiewa. (akt 5ty scena 1sza). Wszystko to wchodzi w zakrój farsy.

Za to *Jessyka* nie tylko jest rozpustną, ale rozwiązłą, aż do bezczelności, a to i w farsie nie uchodzi.

Że zmienia wiarę ojców swoich, by poślubić kochanka, to nie podpada estetycznej analizie, chociaż o ich zaślubinach raz tylko pobieżna zachodzi wzmianka, a w ostatnim akcie rozmawiają, jakby byli jeszcze kochankami*).

---

*) „Będę zbawioną przez męża mego, on mnie zrobił chrześcianką,“ — mówi Jessyka (akt trzeci, scena piąta).

Jakże to pogodzić z rozmową następującą w akcie piątym, scena pierwsza.

Jessyka. „W podobnej do tej nocy, przysięgał mi Lorenzo ile mnie kocha i wykradł mi serce ślubami wierności, z których ni jednego nie dotrzymał.

Lorenzo. W takiej samej nocy oczernia Jessyka *kochanka swojego,* i. t. d.

Jak się zaś czyta w wyżej powołanej piątej scenie trzeciego aktu, cyniczne szyderstwa Lancelota, chrześcianina nad przejściem Jessyki na chrześciańską wiarę. „Chrześcianów i tak mamy dosyć (mówi)“. Te nawracania pędzą tylko w górę cenę wieprzowiny“, i tamże rozmowę żartobliwą z Jessyką o wiecznem potępieniu — nakoniec porówna to wszystko z podobnemi ustępami w innych jego dziełach, natenczas trudno zrozumieć krytyków niektórych którzy mimo to mianują Szekspira poetą arcychrześciańskim.

Ale na pierwszym swym występie z miną świętoszka mówi: „wstydzę się być dzieckiem mego ojca, chociaż, jeżeli pochodzę od niego po krwi, to nie po obyczajach „(akt drugi, scena trzecia).“

A ta obyczajna dziewica oczekuje właśnie na pochód masek, który z narzeczonym jej Lorenzo na czele, ma ją uprowadzić z domu ojcowskiego. Pokazuje się ona w oknie przebrana jako paź, rzuca w ręce Lorenza kosz pełen złota i klejnotów ojca „łapaj, mówi, opłaci się fatyga“.

Gdy zaś Lorenzo nagli na nią, odpowiada: „muszę jeszcze pozłocić się dukatami“.

Nakoniec w przebraniu swojem, staje na czele masek z pochodnią w ręku, udając przytem zawsze niewinniątko. „Rumienię się (mówi) ze wstydu nad mojem przebraniem. Ale miłość jest ślepą etc. (Akt drugi scena szósta.)

Przed ucieczką, po rozmowie z ojcem, którego po raz ostatni widzi, żegna go, gdy już odszedł temi słowy: „Bądź zdrów. »*Jeżeli szczęście sprzyjać mi będzie, stracę ja ojca*«, a ty dziecię.“ (Akt drugi scena piąta.)

To okazuje oczywisty brak serca.

Ale Jessyka wzbudza odrazę sprzedajac w zamian za małpę, pierścień skradziony ojcu, który on jako świętą pamiątkę po żonie a matce jej przechowywał. Jakże celuje nad córką Szylok, gdy dowiedziawszy się o tem, mówi:„ Nie byłbym dał tego pierścienia za puszczę całą zaludnioną małpami“ (Akt trzeci, scena druga.)

Nakoniec Szylok. Celniejsi krytycy prawie bez wyjątku mianują go jedną z najpotężniejszych i najgłębiej obmyślanych kreacji Szekspira. W tem tkwi oczywiście wielka przesada.

Najpierw o kreacji samorodnej mowy być nie może, gdyż wiadomo, że Szekspir powieść o skrypcie i funcie mięsa ludzkiego, w której koncentruje się głównie cała charaktérystyka Szyloka, przejął z nowelli włoskiej *Jana Fiorentino,* i to nietylko co do treści, ale i co do wydatniejszych rysów. I tak jeden rys, który sięga prawie tragiki, i unosi Szyloka po nad poziom łakomstwa, t. j., gdzie odrzuca ofiarowaną mu wypłatę wierzytelności w potrójnej kwocie i obstaje przy skrypcie (Akt czwarty, scena pierwsza) wziętym jest z włoskiego nowelisty*)

Co do innych źródeł, z których mógł korzystać, to za jego czasów znaną była stara ballada angielska pod tytułem „żyd wenecki“. Współczesny Maslam, ten sam przedmiot obrobił pt. „żyd maltański**). Ale Szekspir przeczytawszy w zbiorze „gesta romanorum“ powieść „o trzech szkatułkach“, a mając przed sobą nowellę Fiorentina odgadł, że z obojga dałaby się ukleić dobra sztuka ludowa, czego wprawdzie on jeden zdolnym był dokonać.

Nie wstrzymały go, niedorzeczność górująca w jednej i drugiej, ani treść sroga i odrażająca nowelli włoskiej. Pokrył on to wszystko włoskiem niebem, niewymownym urokiem poezji swej, żywą akcją gdzie, jak w kalejdoskopie coraz nowe obrazy przesuwają się; ubarwił nakoniec słoneczną postacią Porcyi i przysłowiami mądremi, które w sztuce ludowej są na miejscu swoim.

*) Tożsamo i tak uroczy piąty akt z historją o pierścieniu.

*) Co się tyczy dramatu Maslowa to rozbiór jego ma się znajdować w zbiorze perjodycznym mało rozpowszechnionym pod tytułem Jahrbuch der deutschen Shakespearschen Gesellschaft“ zeszyt szósty.

Ale wracając do Szyloka, to ów mniemamy *typ* żydowstwa z odwiecznemi swemi cierpieniami i wrodzoną nienawiścią do chrześcian jeżeli bez uprzedzenia przystąpi się do jego analizy i nie zapomni, że się ma z farsą do czynienia, jest w rzeczywistości umiarkowanemi rysami skreślony, i widocznie trzyma go poeta w miernej temperaturze.

Wyraża się on, z małymi wyjątkami gdzie gwałtowny żal, lub inne uczucia górę biorą, jako kupiec-spekulant, dla którego kantor jest światem. Łakomstwo i nienawiść do chrześcian równoważą się u niego. Gdyby łakomstwo górowało, nie odmówił by dla zemsty problematycznej, którą mógł życiem przepłacić, zaspokojenia wierzytelności swojej w sumie, jak mu ją ofiarowano. Przeciwnie, gdyby górowała u niego nienawiść do chrześcian, jakże by mógł brać udział w ucztach chrześcianskich (Akt drugi sceny czwartej i piątej), i mieć sługi chrześciańskie u siebie.

Co więcej, ucieczka córki Jessyki, z kochankiem chrześcjaninem, przejście jej na wiarę chrześcjańską, mogły fanatyka o śmierć przyprawić. Szylok zaś, więcej niż nad córką, płacze nad dukatami, które mu skradła. „Dziecię moje, moje dukaty, córku uciekła z chrześcjaninem, O moje chrześcjańskie dukaty. Worek! nie, dwa worki dukatów opieczętowane, tożsamo luidory, klejnoty, dwa drogie kamienie, wszystko to córka skradła. Sędziowie, szukajcie dziewki, ona ma dukaty przy sobie.“ (Akt drugi, scena ósma.)

Tożsamo w scenie (pierwszej aktu trzeciego), gdzie dowiaduje się od sługi Tubala o miejscu, gdzie córka przebywa — lamenta i wybuchy gniewu, skierowane są głównie ku skradzionym skarbom. „Diament (mówi), co mnie kosztował dwa tysiące dukatów w Frankfurcie, i tyle innych kosztowności. Chciałbym córkę moją widzieć u mych nóg, a klejnoty u jej uszów, lub też ją w trumnie a klejnoty przy niej.“ Zamiast zaś szukać u Szyloka typu nienawiści żydów do chrześcjan, dziwić się raczej trzeba, jak ona mało u niego w codziennem przebija życiu, pomnąc na postępowanie z nim nietylko Antonia, który go błotem przy każdem spotkaniu obrzuca, ale i towarzyszów jego, Salania, Salarina itd.

Nie dosyć, że uknuli spisek, aby mu uwieść córkę a skarby zrabować; gdy to się im udało, nie wstydzą się prześladować tyle krwawemi obelgami i drwinami.

„Jest przeklętą“, mówi *Szylok* o córce.

Na to *Solarino:* „Bezwątpienia, jeżeli djabeł będzie jej sędzią.“

Szylok. „Musiałem dożyć tego, że własna krew moja przeciw mnie się burzy.“

Solarion. „Pfe! Ty kościotrupie, jakże w twoich latach może coś jeszcze burzyć się w tobie?“

Szylok. „Ja mówię, że córka moja jest z mojej krwi i mego ciała.“

Solarino. „Większa istnieje różnica między jej ciałem a twojem, niż między kością słoniową a drzewem hebanowem; większa między krwią jej a twoją, niż między winem powszedniem a winem reńskiem.“

Wobec tych brutalnych paniczykowskich żartów, jakże rozczulające wydają się nam słowa Szyloka: „Nie ma jęków, tylko te, co ja wydaję, nie ma łez, prócz tych, które wylewam.“ (Akt trzeci, scena pierwsza.)

Pomimo tych zaczepek od innych chrześcjan, skupia on całą swą nienawiść jako prawdziwy kupiec na Antonio, bo ten udziela pożyczki bezprocentowe i sam zniża w Wenecji stopę procentową. Jego zaś, jako lichwiarza, wobec świata kupieckiego stygmatyzuje, przyjaciół mu odstręcza, nieprzyjaciół nań szczuje, nakoniec szkaluje go psem niewiernym, rzezimieszkiem. (Pierwszy akt scena trzecia, trzeci akt scena pierwsza i trzecia.)

Antonio nie zaprzecza temu, przeciwnie, oświadcza, że i nadal tak postępować, tj. opluwać, i nogami tratować go będzie. (Akt pierwszy, scena trzecia.) A gdy zapada ostateczny wyrok na Szyloka, którym życie jego oddane na łaskę doży, a połowa mienia przyznaną zostaje dla Antonja, druga zaś przejść ma na skarb państwa, natenczas Antonio wyprasza u doży życie Szyloka i pozostawienie mu, póki żyje, połowy mienia, pod warunkiem, że się da ochrzcić, warunek, który Szylok przyjmuje.

Drugą zaś połowę majątku Szyloka bierze on dla siebie w dożywocie, a po jego śmierci ma ją odziedziczyć godny, jak go nazywa, Lorenzo, który żydowi córkę uwiódł i przytem go okradł!!!

Powtarzamy więc, o typie judaizmu w przeciwieństwie do chrześcjanstwa, mowy być nie może. Raczej podziwiać należy bezstronność, z którą poeta rozdziela w równej mierze cień i światło; bezstronność, która tylko pierwszorzędnym jeniuszom jest właściwą.

Jednak łatwym do przewidzenia jest zarzut, że przecież osnowa skryptu, niezłamany upór Szyloka, aby wyciąć funt mięsa z ciała dłużnika swojego, wskazują na zakorzenioną nienawiść, która tylko antagonizmem religijnym da się tłumaczyć.

Zapewnie możnaby i na to się zgodzić, ale tylko w razie, gdyby sprawę tę na *prawdę* brać należało; chociaż i tu byłoby więcej odpowiadającem założeniu autora tłumaczyć postępek Szyloka osobistą nienawiścią jego do Antonia.

Ale tylko w farsie ujść może, aby kupiec przebiegły, ogledny, władający wielkim majątkiem, przeto znający prawo, nie spostrzegł się, że klauzulę, przez niego położoną, wyzuł sam z wszelkiego znaczenia i mocy obowiązującej oświadczeniem, że to tylko *żart.*

„I na żart (mówi Szylok do Antonia) położymy na skrypcie warunek, że w razie niedotrzymania umowy, mam prawo wyciąć z jakiej bądź części ciała pańskiego funt mięsa.“

A następnie tak odzywa się do *Bassania:* „Jakąż miałbym korzyść, gdyby ten warunek miał być spełnionym. Czyż mięso ludzkie tyle warte, co mięso wołu, kozy lub barana?“ (Akt pierwszy, scena trzecia.)

Możnaż przytem przypuścić, aby tenże oględny Szylok nie zastanowił się, iż w razie zadania przy rzeczonej operacji rany śmiertelnej dłużnikowi swojemu, tak popularnemu na weneckim placu, bo udziela pożyczki bezprocentowe a biednych ludzi wybawia ze szponów lichwiarskich, mógłby sam paść ofiarą oburzonego ludu.

Przecież i bez tego ma on już dłużnika w mocy swojej; po nieuiszczonym długu na termine, zamknął go do więzienia (Akt trzeci, scena trzecia), gdzie ma tysiąc sposobów dręczenia i upokarzania ofiary swojej, bez narażenia siebie.

Nakoniec stawiając tak srogi i niezwykły warunek, zasięgnąłby pierwej rady prawników weneckich, i dowiedział się, że obstając przy swej klauzuli, sam siebie naraża na utratę ży-

cia i mienia. Z drugiej strony, jakże śmieszną jest przy tem wszystkiem rola, którą odgrywa sławna na świecie całym wenecka rada.

Doża, pierwsi senatorowie i panowie bursy, tracą głowę. Dumny doża płaszczy się prawie przed Szylokiem: „Oczekujemy, mówi, łaskawej odpowiedzi, żydzie.“

Wszyscy są bowiem zdania, że żyd ma prawo obstawania przy zapisie swoim, inaczej kredyt wenecki byłby zachwianym i cudzoziemcy od niej stronili, że istniejącego prawa żadna władza naruszyć nie może. W kłopotach swoich udają się oni po radę do obcego młodego rabulisty, który ich dopiero poucza, że żyd ma wprawdzie prawo obstawania przy całym rygorze danego mu zapisu, ale jeżeli to uczyni, traci nietylko mienie swoje całe, ale i życie. „Wytnij, mówi młody prawnik do Szyloka, należący ci funt mięsa, ale jeżeli przytem kroplę krwi chrześcijańskiej przelejesz, cały twój majątek przepada na rzecz skarbu weneckiego.“

Nie dość na tem; sam zamiar jest już dostatecznym, aby wierzyciela nietylko dotknąć konfiskatą, ale i gardłem ukarać.

Inne bowiem prawo znów postanawia: że jeżeli obcy na życie krajowca w jakibądź sposób nastaje, natenczas krajowiec zostaje właścicielem połowy jego mienia, życie zaś zbrodniarza od łaski doży zawisło. (Akt czwarty, scena pierwsza.) I o tych tak ważnych postanowieniach prawodawstwa krajowego dowiaduje się rada dopiero od obcego młodego rabulisty.

Na nieszczęście cała ta rabulistyka nie znajduje się w włoskiej nowelli Fiorentina, gdzie młody prawnik wyrokuje, że żyd ma prawo do funta ciała swego dłużnika, strzedz się zaś winien, pod srogą karą, kroplę krwi przytem rozlać, co już jest dosyć nonsensu, ale jest ona czystą elukubracją Szekspira. Wszystko zaś razem dostatecznie dowodzi, że historja o funcie mięsa i jej rozwiązanie na *serjo* wzięte być nie mogą; jest to świat przewrócony.

Ostatecznie nowella powyżej wspomniana, którą Szekspir dramatyzował, wskazuje bardzo jasno, o co właściwie rzecz idzie.

„Wszyscy, mówi, *śmieli* się z zawodu, którego *żyd* doznał.“ Bo kto kopie dołki pod drugimi, sam w nie wpada. Szekspir epizodem Jessyki wychrzcianki, która, chociaż wyklęta przez ojca, przecież z woli Antonia po nim dziedziczy, postawieniem warunku, aby żyd ochrzcił się, przyczem traci połowę mienia swego, dobitniej to jeszcze uwidocznił.

Kupiec wenecki jako *farsa* jest niedościgniónem dotąd arcydziełem.

Wyższej nad to wartości przypisać mu niepodobna; głębszej idei na próżno w nim szukać.

POGADANKA KOSMOLOGICZNA.

przez

B. Abakanowicza.

VI.

Zmysły pośredniczą pomiędzy mózgiem naszym a światem zewnętrznym i przy ich tylko pomocy mamy o nim wiadomości.

Wzrokiem poznajemy kształty i barwy przedmiotów, dotykaniem ich temperaturę, powonieniem ich zapach, słuchem dźwięki i. t. d.

Lecz czem są te dźwięki, te barwy, to ciepło, zanim my je zmysłami odczuwamy? Oderwijmy się od naszego ja, i przypatrzmy się, co my nazywamy temi imionami.

Odpowiedź na to znajdziemy w nowej nauce fizyki, która stanowczo dowodzi, iż te wszystkie dźwięki, ciepło, światło, są pojawami odmiennem u jednej i tej samej siły. I ciepło jest ruchem i światło jest ruchem i dźwięk i działania chemiczne. Jedno z łatwością zamienia się na drugie i ciągle w przyrodzie spotykamy się z takim kołowrotem zamian.

Weźmy przed oczy jakiś przykład najprostszy, n. p. kulę wyrzuconą z lufy karabinu. Siła wywołana wybuchem prochu niesie ją z wielką szybkością naprzód i kula ta posiada druzgocącą siłę wziętą od prochu. Przypuśćmy, że uderza ona w swej drodze o twardą opokę. Gdzież się podział ów zapas energii, z którą ta kula leciała? Oto część jej zużytą została na przebicie powietrza, inna na zniszczenie ściany o którą uderzyła i na własne spłaszczenie. Lecz doświadczenie wykazało, że na to nie cała energia kuli się zużywa, gdzież się więc pozostała reszta podziewa? Zauważano, że kula się rozgrzewa od uderzenia i przekonano się w naszym wieku jak najdowodniej, że właśnie ta reszta zamienia się w ciepło. Ruch kuli po jej gwałtownym zatrzymaniu zużył się na podniesienie jej temperatury.

Widząc taką zamianę, zaczęto bliżej badać naturę ciepła i kilku badaczy w połowie naszego wieku doszło do wyjaśnienia tej ciemnej sprawy stwarzając mechaniczną teorję ciepła, dziś ogólnie przyjętą i na której potwierdzenie z dniem każdym przybywają dowody.

Ciało każde, powiada ta teorja, złożone jest z tak zwanych *drobin,* małych cząsteczek, o których kształcie bardzo mało wiemy, a które w budowie każdego ciała grają rolę cegieł, składających razem budynek. Wszystkie związane są w mniejszym lub większym stopniu siłą przyciągania i każda z nich z osobna ruszać się może nie naruszając niczem całości.

Otóż, wracając do przykładu kuli w chwili, gdy ona na swej drodze spotyka opór, energia jej ruchu mechanicznego, energia jej posuwania się naprzód, zamienia się w gwałtowny ruch drobin ołowiu, składających kulę, a im gwałtowniejszy jest ruch tych drobin, tym temperatura ciała jest wyższą.

Żeby pojąć lepiej ten rodzaj ruchu wewnętrznego, którego nie widzimy, a który się przejawia tylko jako ciepło, zajmijmy się przez chwilę wybornym przykładem objaśniającym, podanym przez Balfoura Stewarta. Wyobraźmy sobie, powiada ten pisarz, wagon kolei żelaznej napełniony pasażerami i biegący po torze kolejowym ze znaczną szybkością. Osoby wewnątrz siedzące są w zupełności nie turbowane ruchem, bo chociaż wszystkie one są w szybkim ruchu razem z wagonem, jednakże wszystkie mają tę samą prędkość biegu i ten sam kierunek. Jeźli pociąg wstrzyma się raptownie, uderzy o jakąś przeszkodę, to nastąpi katastrofa kładąca kres spokojowi podróżnych. Jeśli przypuścimy, że wagon się nie złamał a jego pasażerowie się nie pozabijali, to nastąpi silne wstrząśnienie wszystkich osób. Jedni rzuceni będą na drugich i odepchnięci od tamtych gwałtownie we własnej obronie.

Podstawmy drobiny kuli zamiast osób w wagonie, a będziemy mieli pojęcie o tem, jak uderzenie zamienia się na ciepło. Mamy w tym wypadku gwałtowną kollizję drobin. A jest rzuconem na B i powstaje walka, zamięszanie, wzburzenie. Im gwałtowniejszym jest ten ruch wewnętrzny, tem przy dotknięciu większą czujemy temperaturę.

Pojęcie więc ciepła, jako takiego, należy już do naszego mózgu. W świecie zewnętrznym jest tylko mniejszy lub większy ruch drobin i dopiero gdy ten oddziaływa na nasze nerwy, wtedy nazywamy go ciepłem. I tak słońce, które nam ciepło przesyła, jest olbrzymiem nagromadzeniem drobin obdarzonych silnym ruchem, który się udziela przestrzeni międzyświatowej i przenosi się do nas na wszystkie okolice naszego świata.

Zupełnie podobne rzeczy spotykamy ze światłem i dźwiękiem. Światło jest także rodzajem ruchu ciała, którego bliżej nie znamy, a które nazywamy eterem, i dźwięk jest ruchem drobin powietrza.

Wracając jeszcze do słońca, będziemy mieli ze światłem to samo, co było z ciepłem. Wielka gwiazda dzienna wysyła na wszystkie strony światło, które jest drganiem drobin eteru. Gdy to drganie udziela się siatkówce oka naszego, to wtedy mózg odbiera wrażenie od drgających drobin jako światło.

Idąc dalej rzec można, iż świat sam dla siebie nie jest ani ciepłym, ani zimnym, ani ciemnym, ani jasnym, lecz, że cały składa się z drobin obdarzonych ruchem, że ruch ten roznosi się na wszystkie strony, a dopiero człowiek swojemi zmysłami nadaje mu barwy, widzi jego jasność i czuje jego ciepło.

Wszystkie drobne elementy składające świat są w ciągłym ruchu, który się przenosi z jednego miejsca na drugie. Raz w jednem miejscu jest większy, to znów potem w drugiem i istnieje ciągły niepokój drobin przenoszący się z jednej okolicy świata w drugą.

Widzieliśmy wyżej, jak ruch mechaniczny kuli zamienia się na ciepło przy uderzeniu. Z takiemi zamianami spotykamy się ciągle w przyrodzie. Odwrotnie ciepło zamienia się na ruch jak n. p. w machinie parowej. Tam kładziemy pod kocioł węgle, które paląc się wywiązują znaczną ilość ciepła, i ogrzewają wodę w kotle zamieniając ją w parę. Przez ogrzewanie drobiny pary dostają większego ruchu, każda z nich rozpycha swem drganiem sąsiadujące drobiny i para ciśnie na ściany kotła, a to ciśnienie jest tem większe, im większe ogrzewanie. To ciśnienie popycha tłok w cylindrze, i mamy znowu zamianę ciepła na ruch mechaniczny.

Machiną parową możemy pędzić machinę dynamoelektryczną, i wtedy ruch mechaniczny zamienia się na elektryczność. Prądem ztąd otrzymanym możemy rozkładać rozmaite ciała na składniki chemiczne, i wtedy będziemy mieli przykład zamiany prądu elektrycznego na siłę chemicznie rozkładającą.

Z siły pierwotnej nic się nie traci, tylko ciągle pojawia się nam ona pod inną postacią ruchu. Bezpośredni wniosek, jaki ztąd wyprowadzić możemy, jest ten, że w świecie istnieje jeden i ten sam niezmienny zapas ruchu, że tylko przed oczyma naszemi odbywają się ciągłe zamiany.

Każde ciało niebieskie odbywa ciągle taką robotę zamiany. Weźmy słońce jako przykład, i zobaczymy, jaki wpływ ono wywiera na naszą ziemię. Ze słońca przybywają do nas promienie światła i ciepła. Od promieni ciepłych paruje woda w oceanach, wznosi do góry w postaci obłoków, które przesuwają się na lądy, tam spapają na wyżynach jako deszcz i woda wzniesiona

robotą słońca z oceanu spływa napowrót do owego źródła. Po drodze niesie na sobie statki, porusza młyny, kopie łożysko, niszczy brzegi i w ogóle wykonywa pracę mechaniczną.

Promienie słońca działają oprócz tego chemicznie na ciała w skład naszej ziemi wchodzące. Mamy tego niezliczone przykłady. Promienie jego odbijają obrazy na płytach fotograficznych, bielą płótno rozłożone na polach, niszczą skały i co najważniejsze, z kwasu węglowego, znajdującego się w powietrzu budują rośliny. Przy pomocy światła kwas węglowy w odpowiednich organach roślinnych rozkłada się na swe składowe części i węgiel osadza się w roślinie budując jej tkankę.

Węgiel z roślin zużywa potem człowiek paląc go jako drzewo w piecu, albo biorąc zapas węgla tak zwanego kamiennego, który został przez słońce zebrany przed bardzo wieloma wiekami i który się skrył potem w czasie gwałtownych przewrotów na ziemi do jej łona.

Lecz czyż te wszystkie prace wykonywa słońce bezpłatnie? Czy nie traci nic na zapasie swej siły i czy wiecznie w ten sam sposób i z równą siłą pracować będzie? — Nie, bo słońce, tak jak wszystko na świecie wyczerpie się. Wysyłając na wszystkie strony promienie będzie stygło i wreszcie po wielu wiekach stanie się takiem ciałem jak nasza ziemia. Co wtedy stanie się z organizmami? Jakie przewroty nastąpić muszą!

Jeżeli weźmiemy świat pod uwagę, ten, który widzimy w teleskopach, z gwiazdami, drogą mleczną, kometami, meteorami i tem wszystkiem co go uzupełnia, pod uwagę, to możemy rozważać go jaką wielką machinę rządzoną jednemi i temi samemi prawami, które każdej cząstce nadają ruch i przepisują drogę.

W tym świecie, który uważamy jako całość, jedne z ciał są w stanie niezwykłego rozpalenia, inne znowu są ostygłe do znacznego stopnia i w ogóle istnieją bardzo znaczne różnice w temperaturze.

Drobiny jednego ciała, jak np. słońca znajdują się w bardzo gwałtownym ruchu, a innego np. księżyca w daleko słabszym. Otóż istnieje w przyrodzie prawo, że ciało obdarzone większym ruchem drobinowym, to jest ciało cieplejsze, oddaje swe ciepło sąsiadującemu ciału zimniejszemu, które się rozgrzewa, podczas gdy pierwsze się oziębia i taka operacja zamiany trwa aż do zupełnej równowagi.

Przenieśmy to rozumowanie do świata jako całości. Pomiędzy temi wszystkiemi ciałami o różnej temperaturze, istnieje ciągła wymiana ciepła przez promieniowanie. Jedne ciała się ogrzewają, drugie oziębiają i jest ogólna tendencja do przyjścia do stanu zupełnego zrównoważenia ciepła. Ruch drobinowy jednostajnie by się rozłożył w przestrzeni i powstałby stan tak zwany *Entropii*.

Im więcej taki stan będzie się zbliżał, tem coraz mniej silną, mniej gwałtowną będzie zamiana sił i gdy nareszcie wyrównanie nastąpi, żadne zmiany w świecie zachodzić nie będą.

Będzie zupełny spokój — ale spokój śmierci.

Naturalnie że do tej chwili czekać trzeba długo i wszelkie historyczne okresy razem z dziejami bajecznemi są marną, nieznaczącą chwilką. Lecz ostatecznie to wyrównanie nastąpić musi, chyba..

Chyba że świat jest nieskończonym co do swej przestrzeni i co do massy ciał ją zapełniających, co zresztą jest najprawdopodobniejszem, najbardziej odpowiadającem potrzebom naszego mózgu, bo jakież sobie granice świata wyobrazić możemy? Wprawdzie ta nieskończoność jest również niejasną i nierozumną, lecz przynajmniej usuwa trudności na dalsze plany.

Otóż, jeżeli świat jest nieskończonym i co do massy i co do przestrzeni, to wtedy stan wyrównania, stan Entropii nigdy nie nastąpi, bo kiedyż nastąpić może wymiana ciepła między ciałami od siebie nieskończenie odległemi, gdy ciepło i światło od nich wychodzące ku doleceniu od jednego ciała do drugiego używa nieskończonej ilości czasu?

A jednak nie tak łatwo także przypuścić, że ilość massy w wszechświecie jest nieskończenie wielką. Bo jeżeli jest nieskończenie wielką, to wtedy na niebie musi być nieskończenie wiele gwiazd i cały firmament wydawałby się nam świecącym.

Mamy znowu sprzeczność, z której wybrnąć nie łatwo.

Teologowie rozwiązują ją jednem słowem, że świat jest skończonym co do czasu. Że w jednej chwili powstał z niczego i że chociaż jest nieskończenie wielkim i nieskończenie wiele gwiazd jest w przestrzeniach światowych, to jednak od wielu z nich światło nie miało czasu dojść jeszcze do nas i dla tego ich nie widzimy.

Przyrodnicy odpowiadają na to, że im nie wolno przypuścić z czystem naukowem sumieniem, iż z niczego coś powstać może.

I te kontrawersa trwają ciągle i trwać będą wiecznie. Słaba nasza organizacja mózgowa, nieczuła na pojęcie nieskończoności, wiecznie nas prowadzić będzie na manowce i nigdy ze sprzeczności wybrnąć nie zdołamy.

Jeszcze to wielkie szczęście, że człowiek przyszedł do tego przekonania, i że więc niepotrzebnie na rozwiązanie zagadki, na którą nie masz na ziemi odpowiedzi, łamać sobie głowy nie będzie

---

KLEMENS BORUTA

przez

W. OKOŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy)

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do rządcy. Dornfisz, ujrzawszy go, wyjął z biurka książkę, popatrzył w nią, odliczył pieniądze i podając je Klemensowi, rzekł:

— Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony, jak będzie robota, to was zawołać. Bądźcie zdrów.

Boruta skamieniał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfischa, chciał coś powiedzieć, ale gdy rządca powtórzył:

— Bądźcie zdrów, poczciwy Boruta.— nieszczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześniowe, toż samo które przed dwudziestu pięciu laty tak starało się rozweselić pozbawionego pracy Borutę i teraz zabiegało mu drogę, gdy wracał od rządcy, obrzuciło go swemi ciepłemi promieniami i osuszało łzy, które u spuszczonych powiek robotnika zawisły. Klemens uszedł machinalnie, ściskając pieniądze w ręku, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwił wzrok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zagonach pola, na które bezwiednie z drogi zboczył. Oddaliwszy się znacznie od wioski, oprzytomniał i stanął. Nogi wszakże chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo zoranej roli. Przez chwilę rozglądał się naokoło błędnym wzrokiem, następnie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkiego miał 9 marek i 4 sr. grosze.

— Nie dołożył, nic nie dołożył — szepnął smutnie. Żeby grosz, żeby pięć fenigów, żeby jeden.

Zerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcysia płukała groch, przyspiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmowana tak długo przez prosięta izba, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i misek, a rozstawione na pułkach nowe koszyki Brzosta stanowiły nawet pewną ozdobę. Światło jesienne, wlewając się swobodnie przez czyste, chociaż maleńkie szyby okien, nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. I Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustannie żartował.

— Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prątki podawaj. Ona nie dla ciebie śpiewa. Ale jak urośniesz, i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenię.

— O, ja już dziś umiem — odezwał się chłopiec.

— Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos przy tem utrzesz, hę? Nie taki, jak ty smyk, przechwalał się we dworze. Czerwoną sukienkę zdjął, ale jak się do białych koszulek zabrał, beczał też, beczał. O, tak.

— Zjedz teraz zęby — krzyknął wchodząc Boruta — bo już nic innego mieć nie będziesz.

— To ty Klemensie? — spytał strapiony Brzost.

— A ja i bieda ze mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko — nie bójcie się. Wlecze się zmora, wlecze, nie odczepię jej, nie odpędzę, nie uduszę. Ona mnie udusi. Kanarek — szelma. Świergotał, obiecywał i dał — w kark. Jak robota będzie. Ha, ha ha — będzie bywa długie, bardzo długie. Choćbym te pieniądze tylko lizał, to bym i wreszcie wylizał.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Izbę zaległa cisza.

— Co się stało? przerwał nieśmiało Brzost.

— Nic nowego — rzekł szyderczo Boruta — to samo, co od czterdziestu lat ciągle mi się zdarza: skończyłem robotę, odprawili.

— Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

— Bo i cóż mieli zrobić — odparł gniewnie Boruta — do chlewu mnie wsadzić i na słoninę karmić? Ne wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i gębę, jak dla rąk zabraknie,, gęba pościć musi. Czego się jąć? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć?

W słowach Boruty widoczna była plątanina starganej nieszczęściem myśli. Rzucał je bez ładu, chciał gniewem kogoś ugodzić i nie widział celu.

— Ty połknij groch — zawołał do Marcysi wysypującej z garnka ugotowany obiad, — ja połknę ciebie, Brzost — mnie, będziemy syci. Do tego przyjdzie, niedaleko... Rymarz w domu?

— Pojechał — bąknęła dziewczyna.

— Ha! — zawołał, zrywając się z tapczana — podpalę kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

— Klemensie! Klemensie! — reflektował go Brzost.

— Ja wiem, że mię tak ochrzcili, nie przypominajcie. Jedz mała, nie czekaj na mnie. O! żeby nie ty, puściłbym się w świat, i nie oparł aż tam gdzie biedy nie ma.

— Mówią — odezwał się Brzost — że do Polski potrzebują dużo ludzi.

— Plotą, a wy słuchacie i nie rozumiecie. Jaś roboty nie ma, każdemu się ona śni, że gdzieś jest. Toć gadają, że i pod Wiedniem do wałów potrzeba. Więc cóż? Czy kareta po mnie zajedzie, czy kolej dowiezie? Do Polski — to raj! Znam takich, do tego raju w kapocie poszli a bez kapoty wrócili.

— A ja znam takich, co tam dużo zrobili pieniędzy.

— Może ukradli. Niby to raz kosztowałem Polaków. Wleź do nich wtedy kiedy masz dwie skóry, bo jedną pewno zedrą.

— Ot! bajesz głupstwa.

— Już się waszego rozumu za ogon nie czepię. Co widziałem, to wiem. Albo to Pęczkowskiego z Gliwic za Wisłą nie obili? I za co? Za to, że na kośnika się zgodził. To też gdy jeden wilk do nas się przemknął, porachowaliśmy mu żebra, że aż mu dwóch zbrakło.

— I w jednej wsi zabiją. Ty pluj gdzie chcesz, a ja byłem pod Sandomierzem i...

— To idźcie sobie tam do stu tysięcy djabłów, nikt was tu nie trzyma. Wam będzie wesoło, a drugim lżej.

— A czemże ja ci tak zaciężyłem?— rzekł Brzost boleśnie. — Żałujesz mi tego kąta, którego nie żałowałeś tyle lat prosiętom? Pójdę, pójdę, choć ślepy jestem, jeszcze kawałek dachu ludzie dadzą, a chleba cudzego nie jadłem i jeść nie będę.

Powstał stary, wziął Wicka za rękę i do drzwi zamierzył.

— Tfu! — splunął Boruta. — Tak się dąsacie jak panna w zalotach. Czyż ja wam ten kąt wymawiam? Gorzkie słowo z ust się wyrwało, bo w nich nie słodko. Ach dziadku! dziadku! albo raz człowiek człowieka szturknie, a jednak go nie przebije. Siadajcie oto, i pilnujcie domu.

To rzekłszy, wziął z miski garść grochu, wsypał w usta i wyszedł. Nawet surowy pogromca pijaków, proboszcz parafii, do której nędza należała, przebaczyłby widząc go wchodzącego do karczmy. Boruta bowiem nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał po prostu znaleźć kilkoro próżnujących ludzi, którzyby z nim porozmawiali, poradzili. Jakoż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpitych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się losem nowego towarzysza. Była to gromada najemników, żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

— Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zje Dornfisch djabła z nosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do kopania pójdziemy.

— Niechby i tyle — odezwał się Klemens.

— Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzięta.

— Nie pan, ale potrzebny.

— A my co, z fanaberji? Nie jadamy pieczonych kijów. Wolę tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

— Wolicie za siebie.

— A jużci nie za was — odparł gniewnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motyką kartofle, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniały od gniewu mruknął.

— Swoim nosem jeszcze nie kopałem, ale waszym zaraz mogę.

— Zorz, zorz, to ja tę skibę twemi zębami posieję.

— Cymbał — rzekł Boruta i wyszedł śród świstów i krzyków:

— Chwat w nogach!

Wyprawa Boruty do karczmy nie była tak chybiona, jakby się na pozór zdawało. Wprawdzie nie dano mu żadnej rady, nie nastręczono roboty, ale z gróźb nienajmowania się dworowi za tanią cenę, błysła mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane. Wracał weselszy i słusznie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestałość nie zubożyła go odrazu, ale zsuwała powoli do nędzy. Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby kilku, a tymczasem nadchodząca spiesznie zima wydatki ciągle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewczyny obleciało wszystko, mrozy szczypały coraz silniej. Obok tych kłopotów zarysował się inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola, możność najmu w folwarku prawie ustała. Klemens ze drżeniem oczekiwał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Jak gdyby te warunki nie dopełniły jeszcze miary nieszczęścia biednego człowieka, pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki plótł, chociaż niedołężnie i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej strawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy się rozchorował, wyrobnikowi przybyły trzecie głodne usta do karmienia. Czuł to chory starzec i dla tego ciągle powtarzał:

— Dobij mnie, dobij. Za kilka dni życia, co mi tam jeszcze pozostaje, i grzechu mieć nie będziesz.

— Nie kuście — odpowiadał Boruta, nie wiedząc jakim sposobem z przepaści się wydobyć

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nic nie jadł, choremu rymarka dawała po troszce mleka, Marcysia żywiła się obierzynami z kartofli.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Jęk ten nie wyrywa się nigdy z jednych ust, ale brzmi ich chórem. Gdzie morowe widmo powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Ten sam dramat, który śledziliśmy w życiu Klemensa Boruty, odegrywał się w życiu wielu mieszkańców tej wioski a nawet prowincji. Brak pracy, nieurodzaje, wylewy rzek rozpostarły szeroki obraz ubóstwa, w którym losy naszego bohatera tworzyły tylko cząstkowy widok. Nieszczęściem jego nie była bezczynność i niedostatek, ale to, że znalazł się w otoczeniu równie klęską dotkniętem. Dopóki bieda pozwalała się dusić i ratować, dopóty jej ofiary cierpiały odosobnione, bez wiedzy o sobie, z przekonaniem, że tylko każdą z nich srogi los pognębił. Gdy nareszcie tłumione cierpienia wybuchły głośną skargą, zlały się w wielki okrzyk trwogi i rozpaczy. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała bieda, ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasła, gdy przyszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tysiąców piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogiem echem zabrzmiało w całej prowincji, w całem państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o klęsce świat wszystek. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nic on nie jadł, a musiał przytem patrzyć na karmiące się obierzynami kartofli dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nietylko swym widokiem, ale i swojemi słowami.

— Mój robaku — mówił — nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej, wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dodusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Mnie, żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas ciało zrzucić, ledwie się trzyma. Febra raz trząśnie, to i obleci. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach! żebym chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żem ślepy. Sprzedałeś Klemensie wszystkie koszyki?

— Wszystkie — odrzekł z westchnieniem Boruta.

— Nic już nie ma — ciągnął Brzost słabo — nie ma, a ręce pozamierały. Palcami ruszyć nie mogę... próbowałem zgiąć prątek... gdzie tam! Dusza zewsząd uciekła, tylko jeszcze w piersiach siedzi. Ale niedługo wyfrunie. Na jednym włosie się trzyma. Czuję, że ten włos mi serce opasał i na to umrę. Żeby go można zdjąć, byłbym zdrów, ale to daremny zachód. Napar z wierzbinowego kwiatu pomaga, ale zkąd takiego kwiatu wziąć. A do wiosny nie doczekam. Marcysiu, jadłaś co dziś?

— Nic, dziadku.

— Idź do dworu, poproś starej Jagny,

ona zuchelek chleba dla ciebie wyszuka. Taż tam sześciu psów żywią i dla ciebie się znajdzie. Pobiegnij mała i spytaj jej, czy nie ma kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w większą malignę. Narzekał, zdejmował sobie włos z serca, sprzedawał koszyki i częstował Borutę bułkami. Klemens nie mógł znieść tego majaczenia i wysunął się z izby. Przed domem spotkał rymarza, któremu bieda również dokuczać zaczęła.

— No, stuknijmy się łbami i rozbijmy je — rzekł Klemens — bo już nie ma innej rady.

— Ja idę do landrata, mówią, że rozdaje zapomogi.

— Zkądże?

Z Berlina przysłali.

— Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkał o milę drogi. Przed domem jego stała gromada ludzi, wynędzniałych, obszarpanych, drżących od zimna i chwiejących się od głodu. Szeptali oni coś znacząco między sobą, w duszę nowoprzybyłych wstąpiła nadzieja.

— Żeby nie miał dać, toby nas nie wołał — mówiła jakaś kobieta.

— Ale gdzież tyle zboża?

— Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze.

Nareszcie wyszedł landrat.

— Moi kochani — rzekł po niemiecku — bądźcie spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

— A gdyby zajść do księdza — szepnął rymarz.

— Dobrze — odpowiedział z rezygnacją Boruta.

Przybyli na plebanję. Właśnie proboszcz wychodził z domu.

— Czego to chcecie?

— Porady, księże dobrodzieju — mówił rymarz — nie mamy co jeść, dzieci mrą z głodu.

— Cóż ja wam poradzić mogę, moi kochani. Jeśli Bóg się nie zmiłuje, człowiek nie pomoże. Cudu trzeba i cud będzie, boście tego godni. Niebo nie karze ze złości, ale z miłosierdzia. Ono nad wami się zlituje. Bóg was wszystkich policzył, nikomu zginąć nie da, gdy nie zechce. Modlę się za was.

Tyle pocieszyło głodnych to zapewnienie proboszcza, ile obietnica landrata. Obaj zdali raport, jeden do ministerjum, drugi zaś do nieba, obaj zapowiadali pomoc, tymczasem...

— Co robić teraz? — spytał Boruta po odejściu księdza.

— Tak, chyba łeb o łeb rozbić — mruknął rymarz.

Klemens, przechodząc koło kuchni księdza, zatrzymał się nagle przed śmietnikiem. Między rozmaitego rodzaju obrzynkami i kośćmi, leżała kupka kłów buraczanych.

— Patrzcie — rzekł do rymarza — ksiądz miał jeszcze przeszłoroczne buraki, jak to w piwnicy wyrosły. Zda się na barszcz — co?

— E, gdzieby...

— Zda się — powtórzył Boruta i ziele zbierać zaczął. Napakowawszy niem kieszenie i zanadrze, pospieszył z towarzyszem drogą do Nędzy. Jakkolwiek wyprawa ich była chybiona, powracali jednak nieco weselsi. O słowach księdza zapomnieli, ale przyrzeczenie landrata utkwiło im w pamięci.

— Aby jakiś czas przebiedować — mówił Boruta — zanim komisja przyjedzie.

— Mówią — dodał rymarz — że w sejmie za nami się upomną i że cesarz ileś tam tysięcy marek dla biednych ofiarował.

— A no, to i dobrze; ale czy na taką moc ludzi wystarczy? Wszędzie głód, kiedy jeden w gębę kładzie, stu głodnych mu w oczy patrzy. Siądźmy Józefie, bo mi nogi omdlały.

Usiedli przy drodze.

— Nie macie kawałeczka chleba?

— I odkąd nie mam! Ledwie dzieci po kruszynie dostaną.

— Tak nie było, nigdy jeszcze nie było.

Z trudem przywlekli się do wioski. W domu zastał Boruta nieprzytomnego Brzosta i płaczącą Marcysię.

— Masz — rzekł do córki, wyjmując kły buraczane — gotuj teraz barszcz.

— Nie umiem tatulu tego robić.

— Gotuj, głupia, tylko, samo się zrobi.

I zrobiło się rzeczywiście samo, ale co — tego nawet Boruta powiedziećby nie umiał. Kły buraczane utworzyły jakąś bladoróżowawą masę i zabarwiły tymże kolorem wodę. Gdy Marcysia wylała odwar na miskę, ojciec jej zadumał się nad pytaniem, co właściwie jeść należy: kły, czy wodę? Skosztował — jedno i drugie bez soli, bez kwasu, bez żadnej doprawy było mdłem, obrzydłem. Klemens jednak, który od kilku dni, prócz mrożonego głogu, nic nie jadł, znalazł w tem smak przedziwny.

— Soli nam brak — rzekł. — Brzoście, napijcie się barszczu.

— Jedzcie sami, moi drodzy. Jagna nie dała mi jabłek, w gębie gorżko, ale inaczej nie będzie.

— Kapkę — namawiał Boruta.

— Ha, daj na łyżkę.

Klemens wlał mu w usta trochę odwaru. Owczarz posmakował i splunął.

— Mnie już nic nie dogodzi, zdaje mi się, że ciepła woda.

— Jedz, Marcysiu — rzekł Boruta, widocznie łaknący tej ciepłej strawy.

Gdyby ją mógł sam pochłonąć! Widok wszakże wynędzniałego dziecka tłumił w nim głód, a budził ojcowskie przywiązanie.

— Jedz prędko — naglił, jak gdyby chciał usunąć sobie z przed oczu pokusę.

Pokusa wszakże wyczerpywała jego cierpliwość. Warcząc przy misce, z której Marcysia pożądliwie jadła barszcz, wynagradzał sobie przynajmniej poświęcenie gniewem.

— Nie uwijaj się tak, nikt cię nie odjada. Widzisz, szelmo, ojciec ci buraków przyniósł, a coś ty ojcu przyniosła? Piłaś mleko, a ja nic nie piłem. Skaranie moje! Żeby nie ty, nie zdychałbym z głodu. I nieboszczka przez ciebie zginęła. Ach! biedna ona moja, gdyby żyła, nie marniałby człowiek jak pies.

Boruta rzewnie zapłakał. Chociaż jego wyrzuty nie dodawały apetytu, Marcysia chciwie jadła. Gdy nareszcie przestała, ojciec pochwycił miskę, wypił z niej resztkę odwaru i zjadł pozostałe zielsko.

Marcysia, sprzątnąwszy naczynia, siadła pod zimnym piecem. Z bladej twarzy, z osłupiałych jej oczu widać było, że chciwie spożyty barszcz ją zemdlił. Jakoż zaczęła jęczyć, krztusić się i spluwać.

— Nie mówiłem — krzyknął Boruta — żebyś jadła wolno. Prosiak.

W tej chwili wpadł do izby rymarz.

— Klemensie, żona mi tak zachorowała jak Maciejowa. Ma czerwone plamy, bredzi, nie macie pod ręką jakiego lekarstwa?

Urąganiem było żądanie lekarstwa od tych, którzy jeść nic nie mieli. To też Boruta wzruszył ramionami.

— Zkąd?! Trzebaby do dworu. Pójdę z wami, bo i mnie dziewczyna zasłabła.

Wyszli. Na dworze panował ruch. W różne strony przebiegali zadyszani ludzie, nieumiejący nic więcej objaśnić nad to, że do dworu przyjechał jakiś urzędnik; gdy wszakże jedni twierdzili, że to był komisarz głodowy, inni — że doktor. Wiadomość ta tak wzruszyła Borutę, że aż poczuł osłabienie. Usiadł więc na kamieniu i rzekł do rymarza:

— Idźcie Józefie do dworu, ja tu poczekam, bo mi niedobrze.

Niezadługo od strony folwarku ukazał się rzeczywiście jakiś urzędnik z Dornfischem, a za nimi gromadka ludzi. Mówił on głośno i gestykulował żywo. Boruta nie mógł zrozumieć z oddali niemieckich dźwięków, czuł jednak, że zbliża się pewne dla niego zbawienie. To też, gdy orszak nadszedł, jęknął pokornie:

— Panie komisarzu, i ja umieram z głodu.

— Ja nie mam z glód nic do czynienia — odezwał się urzędnik. — Jest u was co chore?

— Ja, córka i dziadek.

— Ja nie mam nic do czynienia z ludzie. Bidlo mają?

— Nie — szepnął Boruta.

Orszak się oddalił, tylko rymarz z niego pozostał.

— To weterynarz — rzekł. — Przysłał go rząd na śledztwo, bo podobno przyprowadzono tu krowę z miasta zagranicznego, gdzie panuje księgosusz.

Boruta milczał.

Bo i cóż miał powiedzieć przeciw troskliwości, która wysyła weterynarza dla odszukania jednej z zarażonego miejsca przyprowadzonej krowy, a nie ma nikogo dla ratowania stu morem dotkniętych ludzi.

Gdy Klemens wrócił do izby, Marcysia spała blada, a Brzost majaczył w gorączce. Popatrzył on na chorych, załamał ręce i stał tak długo zadumany, zasłuchany w ciężkie westchnienia, zapatrzony w ciemność, która go zewsząd otaczała.

Nagle poczuł w całem ciele gwałtowny dreszcz. Legł więc na posłaniu, okrywszy się workiem. Dreszcz wszakże nie

ustawał: trząsł, targał, przeszywał. Nie było to już widocznie zimno z nieopalonej izby, ale napad jakiejś choroby. Pomału Boruta uczuł silny ból głowy, migotanie przed oczami, szum w uszach, dolegliwą ociężałość w członkach i drżenie przy poruszaniu rąk i nóg. Przytomność zaczęła go opuszczać. Usłyszał jeszcze głos Brzosta: Klemensie, Klemensie! — ale już nie mógł się dźwignąć. Ogarnęła go wreszcie zupełna obojętność. Zdawało mu się, że Marcysia woła: Tatulu, ratujcie! — Zerwał się raz, wytrzeszczył zaczerwienione oczy, z których się obficie łzy polały, i padł bezwładny na posłanie.

Minęła noc. Rano izba przedstawiała okropny widok. Niemogący rozeznać położenia, Brzost daremnie wzywał o pomoc, Marcysia pod piecem leżała w gorączce, Boruta zdradzał widoczne ślady ciężkiej choroby. Z ust jego wydobywał się co chwila suchy kaszel, wyrzucając szluz z krwią pomięszany. Nie było nawet ciekawego, któryby popatrzał na ten rozdzierający obraz. (D. n.)

„NANA."

Indywidua znające dobrze ród niewieści (powiadają że istnieją takie, choć sprawa ta jest bardzo wątpliwą!) twierdzą, iż najlepszym środkiem zmuszenia kobiet do czytania jakiejś książki, jest zrobić uwagę, że książki tej czytać nie powinny.

Gdybyśmy baczyli na to, to doprawdy nie wiedzielibyśmy jak się wziąć do tego, by odradzić paniom czytanie książki, o której pomówić zamierzamy. A jednak „Nana" Zoli tak zajmuje obecnie umysły w Europie, że w piśmie literackiem o niej przemilczyć nie możemy. Jedno tylko z góry powiedzieć musimy, że „Nanę" nie radzimy czytać żadnej kobiecie, bo nie zrobi im to ani przyjemności, ani nie zaciekawi. O tej nowej powieści przywódcy francuskich realistów można powiedzieć »*elle fait tache dans la boue*«, że jest napisaną z niepospolitym talentem i że stworzoną jest wcale nie z zamiarem zainteresowania. Książka ta jest jakby szczegółowym aktem oskarżenia, napisanym przez prokuratora, który ma przedstawić wielką jakąś zbrodnię. Autor tego aktu oskarżenia chce przekonać, chce wzbudzić sąd pewien u czytelników, co go to obchodzi, że perjody zawierają nieraz słówka rażące niewinne uszy.

Nikogo się nie zmusza do słuchania aktu oskarżenia. Nawet się ostrzega tych, dla których sprawa jest nieodpowiednią. Prawda, że zwykle bez skutku. Wydarza się nieraz tak, jak w pewnym sławnym skandalicznym francuskim procesie. Prezydujący otworzył posiedzenie z prośbą aby z galerji wyszły wszystkie przyzwoite damy. *Ani jedna* się nie ruszyła. Mowca jednak z niewzruszonym spokojem i uroczystą miną zwrócił się do woźnego i rzekł: teraz gdy już wszystkie porządne damy wyszły, usuń pan inne z sali! Mając z książkami do czynienia nie rozporządza się taką władzą.

„Nana" pod względem literackim może podlegać bardzo ostrej krytyce, nawet wyrokowi niezmiernie srogiemu, lecz jako romans obyczajowy jest ta książka dziełem znakomitem. Jak Sardou i Alfons Daudet, tak też i Zola wyszedł z wielkiej szkoły tak zwanej medycznej. Przypuścić należy, że ludzie ci, zajmując się sekcjonowaniem trupów odkryli jakąś tajemnicę, która pozwala im śledzić drgań duszy ludzkiej lepiej, niż to wszyscy inni potrafią. W „Assomoirze" Zoli znajdujemy takie fizjologiczno-anatomiczne przedstawienie duszy ludzkiej. Niemasz ani jednej postaci w całej powieści, która nie byłaby niezrównanie prawdziwą, prawdziwie nie mówiła i nie rozwijała się zgodnie z prawdą życiową.

Zamiarem autora było przedstawić tam, jak cały szereg uczciwych i dobrych natur ulega zbrodni, hańbie, warjactwu i śmierci, jedynie wskutek okoliczności, wskutek tego, co niektórzy nazwaliby społeczną niesprawiedliwością. Gervaisa, łagodna, ładna, głupia robotnica, która z początku odznacza się swą praktycznością, zabiegliwością właściwą mało uposażonym od natury ludziom, powoli staje się łakomą, leniwą, pijaczką i schodzi do błota i infamii. Coupeau również głópi jak Gervaisa, jego żona, słabszego jednak charakteru, z wzorowej trzeźwości wpada w pijaństwo, które go doprowadza do delirjum. Ich dziecię „Nana," wychowane przy pomocy ciągłego bicia i rozmów rozpustnych, stara się, z wrodzoną kokieterją wysunąć piękność swą na plan pierwszy i czyni to, zanim jeszcze wie co jest dobrem, a co złem. Wszystko to są żywe, naturalne, pouczające postacie. Gdy ojciec kona w szale pijackim, matka dusi się w brudzie, „Nana" jest jeszcze dziewczyną młodą, która żyć nie zaczęła. Lecz czytelnik kończący czytać Assomoir, już jest zainteresowany tem dziecięciem występku ze strony ojca i głupoty ze strony matki.

Akcja „Assomoiru" odbywa się wśród klas roboczych. „Nana" wprowadza nas do wyższych warstw społeczeństwa, — lecz do wyższych warstw z czasów drugiego cesarstwa! „Nana" okazuje się tu nie jako osoba bezcelowa, owszem jako niosąca w tłumy missję, włożoną nań przez losy.

Wśród społeczeństwa, które Gambetta w procesie Baudina tak ognistemi odmalował słowy, gdzie każdy kupuje i jest do kupienia, pojawia się „Nana," to „zwierzę," jako władczyni serc samowładna. Rujnuje arystokratę o historycznem imieniu i to, że roztrwania jego majątek, to jeszcze najmniejsza z krzywd które mu wyrządza. W jej salonie spotykają się dwaj bracia z rodziny, która zawsze o honor swój dbała. Jeden z nich okrada dla niej kasę swego pułku a drugi kończy samobójstwem; przed temi katastrofami jedynem życzeniem każdego z nich było ożenić się z „Naną." Lecz „zwierzę" to, pracuje dalej nad dziełem zniszczenia. Jeden z bankierów kładzie u jej nóg wszystko co zdobył na giełdzie; cały dochód z huty żelaznej, w której setki robotników życie i siły zużywają, przechodzi na zbytek, przez jej ręce. „Nana" wymaga aby cesarski szambelan przychodził do niej w uniformie galowym, czego tylko cesarzowa mogła wymagać; nawet w rodzinie arystokratycznej „zwierzę" to gra rolę opatrzności i dziewczę, które wczoraj wyszło z klasztoru, musi iść zamąż za tego, którego „Nana" wskazała ojcu. Gdzie tylko „Nana" stąpi, wszędzie zniszczenie i rozpacz. »*To było słusznem*« — powiada autor — »*ona zemściła swą klasę*« »*żebraków i odepchniętych*«!

Po spełnieniu swej misji, po dokonaniu zemsty, Nana sama upadła. W pokoiku hotelowym leży na łożu śmierci. Ospa zniszczyła jej płeć piękną, nic nie zostało z jej zwierzęcej piękności, tylko pyszne, bląd włosy okalają twarz, jak całun złotem tkany. Gdzie jej piękność, na, co się jej zdały wszystkie ofiary, zbrodnie, szaleństwa? Już nic więcej nie żąda, jak kilka chwil spokoju. Lecz tego ona mieć nie może. Cały dom, całe miasto wre, kipi, wrzeszczy, hałasuje, z ulicy dochodzą krzyki:

— Do Berlina! Do Berlina!

Na tym okrzyku „à Berlin!" zamyka się opowiadanie. Zdaje się, że autor chciał opowiedzieć tę część historji drugiej połowy naszego stulecia, która nie jest zapisaną w „historji", a którą znać trzeba, aby dobrze zrozumieć wypadki, którego świat zdziwiony był świadkiem. Ni ema w powieści ani jednego słowa, któreby mieściło bezpośrednią alluzję polityczną, a jednak przekonanie polityczne autora, jaskrawo staje przed umysłem czytelnika, uderzająco i potężnie, jak również sens moralny całego dzieła. Odbieramy to wrażenie, jakby autor do nas mówił: „Pokazałem wam, jak lud prosty żył za czasów tego cesarstwa, o których powiadają, że były czasami dobrobytu — bo był perjod głupiej rozrzutności. Teraz pokazuję wam, jak pod wpływem systemu rozpoczętego zbrodnią, doszłego do szczytu oszustwem, złodziejstwem, i apostazją, jak się obyczaje zepsuły i zdziczały, a mężczyzni męskości pozbawieni zostali. Tylko społeczeństwo, które u nóg Nany leżało, mogło tak zajść do Berlina, jak Francuzi zaszli w r. 1870."

Romans francuski współczesny, uprawiany przez Zolę i przez Daudeta, pochodzi z prostej linji od romansu angielskiego. Prawdziwym więc jest zarzut, że w kierunku tym nie ma oryginalności. Lecz jeżeli tak jest istotnie, to zkądże ta dzika nienawiść, z którą ortodoksalni literaci rzucają się na Zolę? Czyż n. p. Disraeli inaczej postępował, gdy w szeregu romansów jak „Contarini Fleming" naprzód, a nareszcie „Sybil" wyłuszczył cały swój program polityczny. I czyż niezliczono mnóstwo innych nie szło tą drogą?

Tylko barwa lokalna, nadawana przez Anglików, jest inną, nie tą, której Francuzi używają. W obu wypadkach widoczną jest tendencja wykazania w formie powieściowej tych ruchów społecznych, z których zestawienia w całości wypływa obecny stan ducha i czynów. Powieści Zoli tworzą integralną część historji drugiego cesarstwa. One tłumaczą wiele stron usuwających się z pod oka zwykłego historjografa. Jakżeż bo sobie wytłumaczyć, że naród bogaty, odważny, postępowy, jednego dnia stracił wszystkie swe zdolności? Jak to wytłumaczyć, *nie wykazawszy wprzód związku między publiczną a osobistą moralnością*, nie odkrywszy pojedyńczych chorób, które się potem złożyły na zdziwienie świata, bezprzykładną słabością całego społeczeństwa.

Prawda, że Zola nie wzdryga się przed żadną obrzydliwością. Tak wyczerpująco, jak Manzoni opisuje zarazę cielesną, tak samo Zola opisuje zarazę moralną. Dlatego też nie dla tłumów jest jego dzieło i nie dla kobiet.

Jego książka powinnaby nosić inny tytuł niż „Nana"; możnaby było ją nazwać: „Jak się zatruwa wielki naród."

DLA SPOŁECZEŃSTWA.

— Mówią, że zmiatam talerze
Jakby jakie dzikie zwierze.
Nie rozumieją męczeństwa!
Toż mnie każdy: «jedz! jedz!» nudzi!
Nie mogę obrażać ludzi!
Robię to dla społeczeństwa.

— Śmieją się, że piszę licho!
Że lepiej jest siedzieć cicho
Niźli bazgrać bezeceństwa.
Fałsz! głowie, która jest zdolną,
Talentu grzebać nie wolno.
Robię to dla społeczeństwa.

— Krzyczą: nie pij! nie pij! nie pij!
A pjanyś — to idź spać lepiej,
Bo dochodzisz do błazeństwa.
Boże! Czyż świat nie dość płacze?
Dobrze że choć ja poskaczę.
Robię to dla społeczeństwa.

— Szydzą, że ja, car, ze strachu,
Po śmiałym na mnie zamachu
Sieję gwałt i okrucieństwa!
Kłamstwo! Tak jak Bóg na niebie —
Nie chodzi mi tu o siebie!
Robię to dla społeczeństwa.

M. Rodoć.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

Obiad u doktora Sarrasin.

13 września — na kilka godzin tylko przed chwilą, którą Herr Schultze wyznaczył na zniszczenie Francji - Miasta — ani gubernator, ani żaden z mieszkańców nie domyślali się jeszcze strasznego niebezpieczeństwa grożącego im.

Była godzina siódma wieczór.

Ukryte w gęstwinie oleandrów i tamaryszków, miasto rozciągało się z wdziękiem u stóp Cascade - Mounts; małe fale oceanu cicho pieściły jego nadbrzeża, marmurem otoczone. Ulice, starannie polane, przedstawiały wesoły i ożywiony widok. Lekki wietrzyk łagodnie poruszał wierzchołkami drzew. Trawniki świeżą jaśniały zielonością. Różnobarwne kwiaty rozlewały woń swą dokoła. Domy ciche, spokojne, zdawały się powabnie uśmiechać z pod bieli swojej. Powietrze było łagodne, niebo lazurowe jak morze, które połyskiwało na krańcach alei.

Podróżnik, przybywszy do miasta tego, byłby się zadziwił wyrazem widocznego zdrowia na twarzach wszystkich mieszkańców i ruchem panującym na ulicach. Zamykano właśnie akademje malarstwa, muzyki, rzeźby, bibljotekę, znajdujące się wszystkie w jednym cyrkule; odbywały się w nich doskonałe kursa publiczne, podzielone na małe sekcje, co pozwalało każdemu uczniowi odnosić istotną korzyść z lekcji. Tłum, wychodzący z tych zakładów, spowodował pewien natłok; ale żaden wykrzyknik niecierpliwości, żaden głos nieukontentowania nie dał się słyszeć. Na wszystkich twarzach był wyraz spokoju i zadowolenia.

Rodzina Sarrasinów zbudowała sobie mieszkanie nie w środku miasta, ale na brzegu oceanu. Tam, zaraz na początku — bo dom ten stanął jeden z pierwszych — doktor stanowczo osiedlił się z żoną swoją i córką Joanną.

Oktawjusz, zaimprowizowany milioner, pragnął zostać w Paryżu, ale nie miał już teraz przy sobie mentora swego, Marcelego.

Dwaj przyjaciele stracili siebie z oczu od tego czasu prawie, jak przestali mieszkać z sobą razem przy ulicy Roi - de - Sicile. Kiedy doktor wyemigrował z żoną i córką nad brzegi Oregonu, Oktawjusz został panem samego siebie. Zaniedbał wkrótce szkołę, gdzie według życzenia ojca miał pracować dalej, i nie zdał ostatniego egzaminu, z którego Marceli wyszedł z pierwszym numerem.

Dotychczas Marceli służył za busolę biednemu Oktawjuszowi, który nie był wstanie rządzić sam sobą. Kiedy młody Alzatczyk wyjechał, jego towarzysz dzieciństwa zaczął powoli prowadzić w Paryżu życie na wielką skalę. Większą część dnia spędzał na wysokim koźle ogromnego powozu o czterech koniach w ciągłej podróży między aleją Marigny, gdzie wziął był mieszkanie, i różnemi polami wyścigów za rogatką. Oktawjusz Sarrasin, który na trzy miesiące przedtem, zaledwie umiał utrzymać się na siodle koni maneżowych, najmowanych na godzinę, stał się nagle człowiekiem, bardzo biegłym we wszystkich tajemnicach hippologji. Źródłem erudycji jego był groom angielski, którego miał u siebie na służbie i który opanował nim zupełnie za pomocą swych specjalnych wiadomości.

Krawcy, siodlarze i szewcy zajmowali całe poranki jego. Wieczory należały do małych teatrów i do salonów pewnego kasyna, które właśnie pod ten czas było na rogu ulicy Trouchet; Oktawjusz wybrał je sobie dlatego, że uczęszczający w nim ludzie oddawali pieniądzom jego hołd, z jakim się zasługi młodego człowieka nigdzie indziej nie spotykały. Ludzie ci wydawali się idealnie dystyngowanymi. Rzecz szczególna, w liście osób pysznie oprawionej i zawieszonej w pierwszej sali, cudzoziemskie nazwiska figurowały tylko. Tytułów przytem takie było mnóstwo, że czytając je możnaby było sądzić, że się jest w przedsieni kolegium heraldyki. Idąc zaś dalej, można było przypuszczać, że jest to raczej żywa wystawa etnologiczna. Wszystkie wielkie nosy i wszystkie żółte cery dwóch światów zeszły się tutaj. Kosmopolityczne te indywidua ubrane były zresztą z wielkim wykwintem, chociaż okazując wyraźne upodobanie do białawych materji, zdradzały tem wieczny pociąg żółtej i czarnej rasy, pociąg do koloru „bladych twarzy".

Oktawjusz zdawał się być młodym bogiem wśród tych wszystkich dwurękich. Powtarzano słowa jego, naśladowano krawatki, zdania uważano za artykuły wiary. A on, upojony tem kadzidłem, nie spostrzegał się, że na wszystkich wyścigach regularnie tracił wszystkie swe pieniądze. Może być, że niektórzy członkowie klubu, jako pochodzący ze wschodu, sądzili, iż mają prawo do dziedzictwa Bégum. W każdym razie umieli je przyciągać do kieszeni swoich powolnym wprawdzie ruchem, ale ciągłym.

W takiem nowem życiu węzły, łączące Oktawjusza z Marcelim, prędko się zerwały. Od czasu do czasu pisywali do siebie jeszcze; ale cóż wspólnego być mogło między twardym pracownikiem, wyłącznie oddanym tej myśli, by inteligencja jego doszła do wyższego stopnia rozwoju i siły, a ładnym chłopcem, pyszniącym się z bogactwa swego i zajętym tylko historjami klubu i stajni.

Wiadomo już, że Marceli opuścił był Paryż; najprzód śledził kroki Herr Schultze'a, który właśnie założył był Stahlstadt, rywalkę Francji-Miasta, na tym samym niezależnym gruncie Stanów Zjednoczonych; potem wszedł na służbę do tegoż Stalowego króla.

Przez dwa lata Oktawjusz prowadził życie bezużyteczne i marnotrawne. Nakoniec, zniechęcony i znudzony próżnią jego, straciwszy kilka milionów, rzucił pewnego pięknego dnia Paryż i pojechał do ojca — co go uratowało od groźnej ruiny, więcej moralnej nawet niż fizycznej. W tym więc czasie mieszkał we Francji-Mieście w domu doktora.

Siostra jego, Joanna, z powierzchowności przynajmniej, była śliczną dziewczyną lat dziewiętnastu; czteroletni pobyt w nowej ojczyźnie nadał jej wszystkie przymioty Amerykanki, do przymiotów tych łączył się wdzięk francuski. Matka jej mówiła niekiedy, że zanim ją dostała na towarzyszkę wszystkich chwil dnia, to się nie domyślała nawet uroku, jaki być może w tak ścisłym stosunku.

Co do pani Sarrasin, ta od powrotu swego syna marnotrawnego, swego infanta, dziecięcia nadziei swoich, była o tyle szczęśliwą, o ile nią być mogła, brała bowiem udział we wszystkich dobrych czynach, które mąż jej mógł robić i robił, dzięki swojej ogromnej fortunie.

Tego wieczora doktor miał u siebie na obiedzie dwóch swych najlepszych przyjaciół, pułkownika Hendona, starego wiarusa, który utracił ramię pod Pittsburgiem a ucho pod Seren - Oaks, co mu wcale jednak nie przeszkadzało grać w szachy, i pana Lentz, głównego dyrektora wychowania w nowem mieście.

Rozmowa toczyła się o projektach administracji miasta, o rezultatach, jakie już otrzymano w rozmaitych zakładach publicznych, w instytutach, szpitalach, kasach wzajemnej pomocy.

Pan Lentz, stosownie do programu doktora, w którym nie ominięto nauki religji, założył kilka szkół elementarnych' gdzie nauczyciele starali się rozwinąć umysł dziecka, używając do tego pewnej metody, która ściśle trzymała się naturalnego rozwoju jego zdolności. Zamiast pakować w niego naukę, starano się, by ją pokochał najprzód, unikając starannie owej wiedzy, która, jak powiada Montaigne, „pływa po wierzchu mózgu", nie przenika do pojęcia, nie czyni człowieka ani mędrszym ani lepszym. Umysł, dobrze przygotowany tylko, sam potrafi wybrać drogę i iść po niej z korzyścią dla siebie i innych.

W tak porządnem wychowaniu staranie o hygienę, musiało stać w pierwszym rzędzie. Człowiek bowiem, złożony z ducha i ciała, musi być zarówno pewny tych swoich dwóch sług; jeżeli jeden z nich zawiedzie, pan cierpi; umysł zaś, pozostawiony sam sobie, musiałby wkrótce uledz.

W tym czasie Francja - Miasto stało na najwyższym szczeblu pomyślności, nie tylko materjalnej, ale i umysłowej. Najznakomitsi uczeni obu światów przyjeżdżali tam na kongres. Ar-

*

tyści, malarze, rzeźbiarze, muzycy, zwabieni sławą miasta, napływali do niego ze wszystkich stron. Należało spodziewać się, że przy takich nauczycielach pracująca młodzież miasta wsławi kiedyś ten zakątek amerykańskiej ziemi.

Można więc było przewidywać, że nowe te Ateny, pochodzenia francuskiego, staną się wkrótce pierwszem z miast na świecie.

Trzeba dodać jeszcze, że wojskowe wychowanie młodzieży szło w liceach równolegle z wychowaniem cywilnem. Wychodząc ze szkół, młodzi ludzie, oprócz robienia bronią, znali pierwsze zasady strategii i taktyki.

To też, kiedy rozmowa weszła na ten przedmiot, pułkownik Hendon oświadczył, że zachwyconym jest ze wszystkich swoich nowozaciężnych żołnierzy.

— Przyzwyczajeni już są do forsownych marszów, do zmęczenia, do wszystkich ćwiczeń ciała. Nasze wojsko składa się ze wszystkich obywateli, i wszyscy, jak będzie tego potrzeba, staną do broni jako żołnierze zahartowani i karni.

Francja - Miasto było wprawdzie w najlepszych stosunkach ze wszystkimi sąsiedniemi Stanami, bo starało się zobowiązać ich sobie przy każdej okoliczności; ale niewdzięczność tak wielką gra rolę w kwestjach interesu, że doktor i przyjaciele jego nie zapomnieli o maksymie: Pracuj, a Bóg ci dopomoże! i rachowali tylko na siebie.

Było już pod koniec obiadu; sprzątnięto deser, i stosownie do anglo - saksońskiego zwyczaju, który przyjęto w rodzinie doktora, panie wstały właśnie od stołu.

Doktor Sarrasin, Oktawjusz, pułkownik Hendon i pan Lentz prowadzili dalej rozpoczętą rozmowę i weszli na przedmiot najważniejszych kwestji ekonomji politycznej, kiedy służący wszedł i podał doktorowi dziennik.

Był to New-York-Herald. Szanowny ten organ zawsze się pokazywał przychylnym, najprzód założeniu, następnie rozwijaniu się Francji-Miasta; znaczniejsi obywatele miasta z ciekawością zwykle szukali w kolumnach jego rozmaitych zdań, jakie opinja publiczna Stanów Zjednoczonych glosiła o nich. Gromada ta ludzi szczęśliwych, wolnych, niezależnych, na małym neutralnym kawałku ziemi, wzbudziła zazdrość u wielu, i jeżeli mieszkańcy Francji - Miasta mieli wielu stronników, z drugiej strony mieli też nienieprzyjaciół gotowych uderzyć na nich. W każdym razie, New - York - Herald był za nimi i nie przestawał darzyć ich oznakami szacunku i uwielbienia.

Doktor Sarrasin, nie przerywając rozmowy, zerwał opaskę dziennika i machinalnie rzucił wzrokiem na pierwszy artykuł.

Jakież było zdziwienie jego, kiedy ujrzał kilka następujących wierszy, które przeczytał najprzód po cichu, potem głośno, przy największem zdziwieniu i głębokiem oburzeniu przyjaciół swoich.

„*New - York*, 8. września. — Gwałtowny zamach na prawo ludzkości ma się wkrótce dokonać. Dowiadujemy się z pewnego źródła, że w Stahlstadzie uzbrajają się strasznie w celu uderzenia na Francję - Miasto i zniszczenia tego miasta pochodzenia francuskiego. Nie wiemy, czy Stany Zjednoczone będą mogły i chciały wdać się w tę walkę, która będzie wznowieniem poprzednich zapasów rasy łacińskiej i saksońskiej; ale zawiadamiamy uczciwych ludzi o tem haniebnem nadużyciu siły. Niech Francja - Miasto nie traci ani chwili czasu i przygotuje się do obrony... itd.“

ROZDZIAŁ XII.

Rada.

Nienawiść ta Stalowego króla względem dzieła doktora Sarrasin'a, nie była tajemnicą. Wiedziano, że wzniósł miasto przeciw miastu. Ale od tego faktu do rzucenia się na spokojne miasto i zniszczenia go, daleko jeszcze było. Jednakże artykuł New - York - Heraldu mówił wyraźnie o tem. Korespondenci tego potężnego dziennika dociekli zamiarów Herr Schultze'a. i — tak mówili — nie było chwili do stracenia!

Zacny doktor zmięszał się z początku. Tak jak wszystkie szlachetne dusze, jak mógł najdłużej nie chciał wierzyć w złe. Zdawało mu się niepodobieństwem, by przewrotność mogła się posunąć do tego stopnia, że bez przyczyny żadnej lub przez prostą fanfaronadę tylko chciała zniszczyć miasto, które było niejako wspólną własnością ludzkości całej.

— Ależ pomyślcie sobie, że średnia śmiertelność u nas w tym roku nie wyniesie nawet jednego i ćwierć na sto! — zawołał naiwnie — że nie mamy ani jednego dziesięcioletniego chłopca, któryby nie umiał czytać; że ani jednego morderstwa, ani jednej kradzieży nie było od założenia Francji - Miasta! I barbarzyńcy ci mieliby w samym początku zniszczyć tak szczęśliwą próbę! Nie! Nie mogę uwierzyć temu, by chemik, uczony, chociażby był sto razy Niemcem, zdolnym był do tego!

Niepodobna było jednak nie wierzyć dziennikowi, który dla dzieła doktora okazywał tyle przychylności, i nie zwlekając należało obmyślić środki obrony. Kiedy pierwsza chwila pomięszania minęła, doktor Sarrasin, odzyskawszy przytomność umysłu, tak odezwał się do przyjaciół swoich:

— Panowie, jesteście członkami Rady obywatelskiej, i do was tak dobrze jak do mnie należy przedsięwziąć środki potrzebne do obrony miasta. Cóż mamy robić najprzód?

— Czy jest jaka możność porozumienia się z przeciwnikiem? — rzekł pan Lentz. — Czy podobna uniknąć wojny, nie narażając honoru?

— Niepodobna — odrzekł Oktawjusz. — Herr Schultze pragnie jej widocznie za jaką bądź cenę. Nienawiść jego nie pozwala na żadne układy!

— Niech i tak będzie! — zawołał doktor. — Postaramy się o to, byśmy mu mogli stosownie odpowiedzieć. Jak myślisz, pułkowniku, czy jest jaki sposób obrony przeciw działom Stahlstadt'u?

— Siła ludzka może zawsze skutecznie walczyć z drugą podobnąż siłą — odpowiedział pułkownik Hendon — ale nie możemy myślić o tem, byśmy się mogli bronić tymiż samymi środkami i tąż bronią, jaką Herr Schultze uderzy na nas. Chcąc mieć maszyny wojenne, mogące walczyć z jego maszynami, potrzebowalibyśmy na to czasu bardzo długiego, a nawet, nie wiem, czy potrafilibyśmy je zrobić, nie posiadając osobnych do tego warstatów. Jeden więc tylko środek ocalenia pozostaje nam: nie dopuścić nieprzyjaciela do siebie i nie pozwolić by opasał miasto.

— Natychmiast zwołam Radę — rzekł doktor Sarrasin.

To powiedziawszy, wraz z gośćmi udał się do swego gabinetu.

Był to pokój skromnie umeblowany; trzy jego ściany zajmowały półki z książkami, na czwartej było kilka obrazów i dzieł sztuki, a pod nimi szereg numerowanych przedmiotów, kształtem swoim przypominających trąbki akustyczne.

— Dzięki telefonowi — rzekł doktor — możemy we Francji - Mieście wspólnie naradzać się, nie wychodząc z mieszkań naszych.

To mówiąc, dotknął dzwonka sygnałowego, który natychmiast wezwanie jego przesłał do mieszkania każdego z członków Rady. Nie upłynęło trzech minut, a każdy z drutów komunikacyjnych przyniół wyraz „obecny“, co było hasłem, że posiedzenie Rady rozpoczyna się.

Doktor umieścił się wówczas przed trąbką swojego przyrządu ekspedytora, poruszył dzwonek i rzekł:

— Posiedzenie otwarte... Głos ma mój szanowny przyjaciel, pułkownik Hendon; zawiadamia on Radę obywatelską o bardzo ważnej okoliczności.

Z kolei pułkownik zajął miejsce przed telefonem i, przeczytawszy artykuł z New - York-Herald'a, wniósł, że należy zaprowadzić w mieście pierwsze środki obrony.

Zaledwie on skończył mówić, numer 6-ty postawił pytanie:

„Czy pułkownik uważał obronę za możebną, w razie gdyby środki, którymi zamierzał przeszkodzić zbliżeniu się nieprzyjaciela, okazały się bezskuteczne?“

Pułkownik Hendon odpowiedział twierdząco. Pytanie i odpowiedź doszły natychmiast do każdego z niewidzialnych członków Rady, tak jak objaśnienia, które je poprzedziły.

Numer 7-my zapytał, ile czasu, zdaniem pułkownika, mieszkańcy miasta mieli do przygotowania się.

Pułkownik nie wiedział tego, ale sądził, że trzeba działać tak, jak gdyby miano uderzyć na nich zanim dwa tygodnie upłyną.

Numer 2-gi: „Czy należy czekać natarcia, czy też sądzisz pan, że lepiej jest uprzedzić je?“

— Trzeba koniecznie starać się uprzedzić je — odpowiedział pułkownik — a jeżeli nieprzyjaciel zagrozi nam wylądowaniem, musimy torpilami naszemi wysadzić w powietrze okręty Herr Schultze'a.

Na ten wniosek doktor Sarrasin oświadczył, że wezwie na radę znakomitszych chemików artylerji i poleci im zbadać plany, które pułkownik Hendon im przedłoży.

Pytanie numeru 1-go:

„Jaka suma potrzebna jest do natychmiastowego rozpoczęcia robot fortyfikacyjnych?“

— Trzeba módz rozporządzić piętnastu do dwudziestu milionami dolarów.

Numer 5-ty: „Wnoszę, że należy zwołać zaraz powszechne zgromadzenie obywateli.“

Prezydent Sarrasin: „Oddaję projekt pod głosowanie.“

Dwa uderzenia dzwonka w każdym telefonie oznajmiły, że projekt jednogłośnie przyjęto.

Było pół do dziewiątej. Rada obywatelska nie trwała ośmnastu minut i nikogo nie ruszyła z miejsca.

Zgromadzenie ludowe zostało zwołane sposobem równie prostym i prawie tak szybkim. Zaledwie doktor Sarrasin, zawsze za pośrednictwem swego telefonu, przesłał do ratusza wiadomość o tem, co Rada uchwaliła przed chwilą, natychmiast odezwały się dzwonki elektryczne, umieszczone na wierzchołku kolumn, które stały na dwiestu ośmdziesięciu placach miasta Na kolumnach znajdowały się zegary wieżowe, których wskazówki zaraz zatrzymały się na pół do dziewiątej; oznaczało to godzinę zgromadzenia się.

Donośny ten odgłos dzwonków trwał więcej niż kwadrans; mieszkańcy powychodzili z domów i podnieśli oczy na najbliższy sobie zegar. Widząc, że obowiązek narodowy wzywa ich do sali ratuszowej, niezwłocznie pospieszyli do niej.

Na umówioną godzinę, to jest w niespełna czterdzieści pięć minut, zgromadzenie było w komplecie. Doktor Sarrasin siedział już na honorowem miejscu, a cała Rada otaczała go. U podnóża trybuny, doktor Hendon czekał, aż mu głos będzie dany.

Większa część obywateli wiedziała już, jaki był powód zgromadzenia. W istocie, dyskusja Rady obywatelskiej, automatycznie powtórzona przez telefon ratuszowy, została niezwłocznie rozesłana do dzienników, które wydały ją osobno i w kształcie afiszów rozlepić kazały na ulicach.

Sala ratuszowa była to ogromna nawa z dachem szklannym; powietrze krążyło tu swobodnie, a światło strumieniami lało się z szeregu lamp gazowych, które uwydatniały kąty sklepienia.

Tłum stał spokojny i cichy. Twarze były wesołe. Zdrowie całkowicie dobre, przyzwyczajenie do życia pełnego i regularnego i poczucie własnej siły nie dawały nikomu poddawać się zbytecznemu wzruszeniu, uczuciom przestrachu lub gniewu.

Jak tylko wybiło pół do dziewiątej, prezydent poruszył dzwonek, i głęboka cisza zrobiła się w sali.

Pułkownik wszedł na trybunę.

W języku silnym i zwięzłym, bez niepotrzebnych ozdób i oratorskich wzorów, w języku ludzi, którzy wiedząc co mówią, jasno wypowiadają rzeczy, bo je dobrze rozumieją, pułkownik Hendon opowiedział o zastarzałej nienawiści Herr Schultze'a do Francji, do Sarrasin'a i jego dzieła i o strasznych przygotowaniach w celu zniszczenia Francji-Miasta i jej mieszkańców, o czem zawiadamiał dziennik *New-York-Herald.*

„Do obywateli miasta — mówił dalej — należy postanowić, co mają robić dalej. Ludzie bez odwagi i bez patrjotyzmu woleliby może ustąpić z placu i nową swoją ojczyznę odstąpić napastnikom. Ale pułkownik był pewnym, że tak tchórzliwe usposobienie nie może być udziałem współobywateli jego. Ludzie którzy potrafili zrozumieć wielkość celu, jaki postawili sobie założyciele wzorowego miasta, ludzie, którzy umieli pogodzić się z jego prawami, musieli być koniecznie ludźmi inteligiencji i serca. Walcząc w imię postępu, którego są szczerymi przedstawicielami, zrobią zapewne wszystko, co tylko będzie w ich mocy, by uratować to niezrównane miasto, chlubny pomnik wzniesiony sztuce polepszenia losu człowieka! Obowiązkiem ich zatem było poświęcić życie za sprawę, którą reprezentowali"

Grzmot oklasków przyjął tę mowę.

Kilku mowców poparło wniosek pułkownika Hendona.

Doktor Sarrasin przedstawił konieczność ustanowienia Rady obronnej, któraby zaprowadziła niezbędne środki obrony, zachowując przytem tajemnicę konieczną w czynnościach wojskowych; propozycja ta została przyjęta.

Na tem samem posiedzeniu jeden z członków Rady obywatelskiej podał myśl głosowania na tymczasowy kredyt pięciu millonów dolarów, przeznaczonych na pierwsze roboty. Wszystkie ręce podniosły się dla zatwierdzenia kroku tego.

Było dwadzieścia pięć minut na jedenastą, kiedy zgromadzenie ukończono, i mieszkańcy Francji-Miasta, wyznaczywszy naczelników, mieli się rozejść. Wtem zaszedł niespodziany wypadek.

Trybuna, wolna od chwili, została właśnie zajęta przez jakiegoś nieznajomego dziwnej postaci.

Człowiek ten zjawił się tam jakby cudem. Na energicznej twarzy jego były ślady strasznego wzburzenia, ale postawę miał spokojną i pewną. Ubranie jego, na wpół przyklejone do ciała i powalane mułem, czoło zakrwawione wskazywały, że straszne jakieś przygody spotkały go.

Na jego widok, wszyscy się zatrzymali. Rozkazującym ruchem nieznajomy nakazał wszystkim spokój i milczenie.

Kto on był? Zkąd się wziął? Nawet doktor Sarrasin, tak jak i inni nie pomyślał zapytać go o to.

Zresztą, dowiedziano się wkrótce o tem.

„Uciekłem właśnie ze Stahlstadtu — rzekł — Herr Schultze skazał mię był na śmierć. Bóg pozwolił mi trafić do was na czas jeszcze, na tyle przynajmniej, bym spróbował, czy nie potrafię ocalić was. Nie dla wszystkich tutaj jestem nieznajomym. Mój czcigodny mistrz, doktor Sarrasin, powie wam, spodziewam się, że pomimo powierzchowności, pod którą sam siebie poznać nie mogę, można cokolwiek zaufać Marcelemu Bruckmanowi!

— Marceli! — zawołali jednocześnie doktor i Oktawjusz.

Obaj chcieli rzucić się ku niemu.

Nowy ruch zatrzymał ich.

Był to w istocie Marceli, cudem uratowany. Wyłamawszy kratę kanału w chwili, kiedy brak powietrza miał go udusić, prądem wody został uniesiony jak ciało bez życia. Na szczęście krata zamykała właśnie obwód Stahlstadt'u i w dwie minuty później Marceli został wyrzucony na brzeg rzeki, wolny nakoniec, jeżeli wróci do życia!

Kilka długich godzin odważny młodzieniec przeleżał nieruchomie, w noc ciemną, w pustem polu i zdala od wszelkiej pomocy.

Dzień już był, kiedy odzyskał zmysły. Przypomniał sobie wówczas wszystko... Dzięki Bogu, wydostał się nakoniec z przeklętego Stahlstadt'u! Nie był już w niedoli. Cała myśl jego zwróciła się do doktora Sarrasina'a, jego przyjaciół, jego współobywateli!

„Oni! oni!" — zawołał.

Z nadzwyczajnem wysileniem dźwignął się na nogi.

Dziesięć mil oddzielało go od Francji-Miasta, dziesięć mil miał zrobić; bez kolei, bez wozu, bez konia przebyć te pola, które jakby pustką otaczały Stalowe Miasto. Te dziesięć mil przeszedł, nie odpoczywając ani na chwilę, i kwadrans na jedynastą znalazł się w obec pierwszych domów miasta doktora Sarrasin'a.

Afisze, pokrywające mury, zawiadomiły go o wszystkiem. Zrozumiał, że mieszkańcy byli już uprzedzeni o niebezpieczeństwie, które im groziło; ale zrozumiał także, że nie wiedzieli ani jak bliskiem było to niebezpieczeństwo, ani też jakiego dziwnego rodzaju było ono.

Katastrofa, wymyślona przez Herr Schultze'a, miała nastąpić tegoż wieczora, o czterdzieści pięć minut na dwunastą... Było już kwadrans po dziewiątej.

Ostatnie usiłowanie pozostawało jeszcze do zrobienia. Marceli jednym pędem przebiegł miasto i o dwadzieścia pięć minut na jedynastą, w chwili kiedy zgromadzenie miało się rozejść, wdarł się na trybunę.

„Nie za miesiąc, przyjaciele moi — zawołał — ani za tydzień nawet, pierwsze niebezpieczeństwo uderzy na was! Za godzinę, nieznana dotąd katastrofa, deszcz żelaza i ognia spadnie na wasze miasto. Maszyna godna piekieł, sięgająca o mil dziesięć, w tej chwili jest wymierzona przeciwko niemu. Widziałem ją. Niech więc dzieci i kobiety schronią się do piwnic, dających pewną rękojmię wytrwałości, albo niech natychmiast opuszczą miasto i udadzą się w góry! Mężczyźni silni niech się przygotują do gaszenia ognia wszelkimi możliwymi środkami! Ogień, to na teraz jedyny wasz nieprzyjaciel! Ani wojsko, ani żołnierze nie idą przeciwko wam. Przeciwnik, który wam grozi, pogardził tymi zwykłymi środkami wojny. Jeżeli plany, jeżeli rachunki człowieka, którego potęga w złem jest wam już znana, spełnią się, jeżeli Herr Schultze nie omylił się po raz pierwszy, w takim razie pożar wybuchnie nagle i od razu na wszystkich punktach Francji-Miasta! Na wszystkich punktach trzeba będzie wkrótce walczyć z płomieniem! Cokolwiek bądź ma nastąpić, trzeba najprzód ratować ludność, bo domy wasze, wasze pomniki, których niepodobna będzie ocalić, a chociażby nawet całe miasto miało być zniszczone, czas i pieniądze zdołają je odbudować

W Europie wziętoby Marcelego za warjata. Ale w Ameryce nikomu nie przyszłoby do głowy zaprzeczać cudom nauki, i idąc za zdaniem doktora, uwierzono młodemu Alzatczykowi.

Tłum, na którym akcent mowcy większe jeszcze zrobił wrażenie niż jego słowa, usłuchał go, nie roztrząsając ich nawet. Doktor odpowiadał za Marcelego Bruckmana. Tego było dosyć.

Rozkazy natychmiast zostały wydane, i posłańcy rozlecieli się z nimi na wszystkie strony.

Co do mieszkańców miasta, jedni wróciwszy do domów swoich, postanowili z rezygnacją znieść okropności bombardowania i schronili się do piwnic; inni pieszo, konno, w powozach wyruszyli w pole i dotarli do pierwszych stoków Cascade-Mounts.

Tymczasem mężczyźni silni pospiesznie zgromadzali na wielkim placu i kilku innych punktach, wskazanych przez doktora, wszystko, co mogło służyć do ugaszenia ognia, to jest wodę, ziemię, piasek.

Na sali posiedzeń narada ciągnęła się dalej w kształcie rozmowy.

Marceli zdawał się być tak pochłonięty myślą jakąś, że nie mógł niczem się zająć. Przestał mówić i szeptał te tylko słowa:

„Czterdzieści pięć minut na dwunastą! Czyż

podobna, żeby ten przeklęty Schultze zwyciężył nas swoim obmierzłym wynalazkiem?...“

Nagle, wyciągnął z kieszeni swoje notatki. Zrobił ruch człowieka, który prosi o milczenie, i z ołówkiem w ręku, gorączkowo nakreślił kilka cyfr na jednej ze stronnic swojej książeczki. Powoli czoło jego rozchmurzało się, i twarz rozjaśniała:

„Ah! moi przyjaciele: — zawołał — moi przyjaciele! Albo te oto cyfry kłamią, albo wszystko to, czego obawiamy się, rozwieje się, jak przykry sen przed oczywistością problematu balistyki, którego rozwiązania szukałem dotąd nadaremnie! Herr Schultze omylił się! Niebezpieczeństwo, którem grozi nam, jest urojeniem tylko! Na ten raz, nauka jego błądzi! Nic z tego, co nam zapowiedział, nie stanie się, nie może się stać! Jego straszny granat przejdzie po nad Francją-Miastem, nie dotknąwszy go, i teraz pozostaje nam już tylko obawiać się o przyszłość!

Co chciał powiedzieć Marceli?! Nikt go nie rozumiał!

Wówczas młody Alzatczyk wyjaśnił rezultat rachunku, który nakoniec udało mu się zrobić. Głos jego czysty i donośny tak dobitnie przedstawił rzecz całą, że zrozumieli ją nawet ci, co nie posiadali nauki. Jasność nastąpiła wówczas po ciemności, spokój po trwodze. Pocisk nie tylko nie miał dotknąć miasta doktora, ale nie miał dotknąć „niczego wcale“. Przeznaczeniem jego było zginąć w przestrzeni!

Doktor Sarrasin giestami potwierdzał wykład rachunku Marcelego, kiedy nagle wskazując palcem na zegar w sali — zawołał:

„Za trzy minuty — rzekł — dowiemy się, kto ma słuszność, Schultze czy Marceli Bruckman! Bądź co bądź, moi przyjaciele, nie żałujmy tych środków ostrożności, które powzięliśmy i nie zaniedbujmy niczego, co może odeprzeć wynalazki nieprzyjaciela naszego. Jeżeli cios ten ominie nas, jak Marceli każe nam się spodziewać, nie będzie on ostatnim! Nienawiść Schultze'a nie może uznać się za zwyciężoną i cofnąć przed niepowodzeniem!

— Chodźmy! — zawołał Marceli

I wszyscy udali się za nim na wielki plac.

Trzy minuty upłynęły. Czterdzieści pięć minut na dwunastą wybiło na zegarze!...

W cztery sekundy później, ciemna masa przemknęła wysoko po niebie i szybka jak myśl ze świstem złowrogim znikła daleko za miastem.

—Szczęśliwej drogi!—krzyknął Marceli, wybuchając śmiechem. Z taką szybkością początkową granat Herr Schultze'a, przekroczył już teraz granicę atmosfery i nie może spaść na ziemię!

W dwie minuty później rozległ się huk przygłuszony, jak gdyby wychodzący z wnętrza ziemi!

Był to huk, pochodzący z działa Wieży Byka; huk ten doszedł o sto trzynaście sekund później jak pocisk, który leciał z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę. (C. d. n.)

NAJNOWSZE ODKRYCIE

PASTEUR'A

dotyczące chorób zaraźliwych.

Na ostatniem posiedzeniu Akedemji paryzkiej znakomity chemik p. Pasteur, uczynił ważne oświadczenie, które bez żadnej wątpliwości posłuży do wyjaśnienia kilku najważniejszych pytań powstawania chorób zaraźliwych. Jakkolwiek doświadczenia p. Pasteur'a nie zostały jeszcze ukończone, wszakże wykazują już szereg faktów nowych, genjalnie i ściśle ustalonych. Zresztą tak są one interesujące, że największą dla nich pochwałą będzie po prostu przedstawienie ich czytelnikom. Doświadczenia p. Pasteur'a odnoszą się do choroby być może mało znanej, do *cholery kur.*

Przypadłość ta, rozwijająca się epidemicznie wśród wiejskich dziedzińców, kończy się zwykle śmiercią. Nadto skonstatowano, że choroba zależy na rozwijaniu się malutkiego organizmu, znalezionego we krwi. Ten *mikrob* jak go nazywa p. Pasteur, jest ciałkiem, przedstawiającem się pod mikroskopem w postaci pałeczek członkowanych, bardzo wązkich, w środku znacznie cieńszych, które na pierwszy rzut oka wydają się jako punkciki odosobnione. Według p. Pasteur'a, *mikrob* ten nieposiadający ruchów własnych, różni się od znanych *wibrjonów.*

Starając się mnożyć go sztucznie, p. Pasteur znalazł płyn, sprzyjający jego rozwojowi. Wiadomo na czem polega metoda, wynaleziona i stosowana przez p. Pasteur'a. Płyn organiczny filtruje się starannie i gotuje tak, ażeby wszelkie żyjące w nim organizmy zostały zniszczone. Do tak oczyszczonego płynu, wpuszcza się mała ilość zarodku, który się w nim rozwija. Po kilku dniach, płyn zawiera już wielką ilość tych zarodków, i jedna jego kropla mieści w sobie tysiące mikrobów. Ta kropla, wpuszczona znów do naczynia z czystym pierwotnym płynem, da początek nowej generacji istot itd. aż się otrzyma stanowczo jeden tylko pożądany gatunek *wibrjonów (mikrobów).*

Otóż istota, która jest czynnikiem zarazy w cholerze kur, rozwija się nader szybko w płynie z odwaru mięśni kurzych, a zamiera w płynie z odwaru drożdżowego.*) Jedna kropla tak przyrządzonego płynu zaraźliwego, sprowadza u kur cholerę i śmierć. Przeciwnie na świnki morskie jad ten nie działa. Po zaszczepieniu go im tworzy się tylko wrzód miejscowy. *Mikroby* pływają wśród ropy w tych wrzodach, ale świnki żyją i są zdrowe, gdy tymczasem jedna kropla materji wrzodowej zaszczepiona kurom, sprowadza cholerę. Przy stosownem postępowaniu, w czasie chodowania *mikrobów,* można je uczynić mniej zaraźliwemi. Wtedy płyn zaraźliwy nie sprowadza śmierci kury — lecz tylko chorobę. W tej możności sztucznego osłabiania płynu zaraźliwego, leży największa doniosłość odkrycia sławnego chemika; — kury bowiem zatrute mało zaraźliwym mikrobem, po wyleczeniu nie mogą już uledz cholerze; bo nawet płyn zaraźliwy mocny zaszczepiony im wtedy nie oddziaływa na nie. Organizm ich zostaje przez słaby zarazek tak zobojętniony, że płyn mocno zaraźliwy nie może się już w nim rozwijać. Jednem słowem, można powiedzieć, że płyn zaraźliwy osłabiony, cholery kur, tak się ma do jadu ostrego, jak krowianka do ospy naturalnej. Cholera lekka chroni organizm od cholery śmiertelnej.

O dalszym rezultacie doświadczeń pana Pasteur'a nie zaniedbamy uwiadomić czytelników.

*) Wiadomo, że płyn przygotowany z odwaru drożdży, właśnie nadzwyczaj sprzyja rozradzaniu się znanych dotąd wibrjonów i innych istot mikroskopijnych.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Kółko literackie. Nowa szkoła politechniczna. Zmiany w szkole dublańskiej. List od p. Lama.)

Oddawna rozbierany projekt stowarzyszenia literackiego, który tyle prób niefortunnych przechodził — urzeczywistnił się już i grono literatów, z kilkudziesięciu osób złożone, zajmuje się gorliwie przeprowadzeniem dzieła. Ponieważ zgromadzenia literackie mają dotąd jeszcze charakter poufny, przeto nie możemy podawać bliższych szczegółów. Do kółka przyłączyło się wszystko prawie co u nas na niwie literackiej pracuje i z chętnego udziału widać, że ogół świata literackiego u nas, ożywiony jest dobremi chęciami dla tej sprawy.

Kraszewski w liście do inicjatorów zachęcił ich do zajmowania się sprawą „Macierzy polskiej“ i rzeczywiście zawiązujące się stowarzyszenie nie mogło znaleść piękniejszej pracy na początek, jak dokładne rozpatrzenie tej ważnej sprawy i udzielenie tym sposobem pomocy czcigodnemu Kraszewskiemu, który i tak jak na wiek swój sędziwy przeciążony jest pracą.

Z rozwoju i prac kółka literackiego będziemy podawali sprawozdania.

* * *

Dzięki ofiarności prywatnej przybędzie jeszcze jeden ważny zakład naukowy w Polsce. W Warszawie ma być utworzoną szkoła politechniczna. Dotychczas młodzież z Kongresówki i Litwy, mająca zamiar obrania zawodu technicznego, szukać musiała nauki po za granicami kraju własnego w Petersburgu, Moskwie, Zurychu, Paryżu itp. Jedyną polską szkołą politechniczną była nasza lwowska, lecz wychowańcy jej nie mieli w Rosji prerogatyw takich, jak uczniowie szkół rosyjskich, i to było przyczyną małego napływu z za kordonu. Młodzieży szukającej technicznego zawodu jest wiele pod zaborem rosyjskim i dla nich nowa szkoła będzie prawdziwem dobrodziejstwem. Pieniądze na utworzenie tej szkoły daje znany bankier warszawski p. Jan Bloch. Inny również znany bankier Kronenberg założył jeszcze za swego życia szkołę handlową. Obywatelskie te czyny nie potrzebują komentarzy.

* * *

Szkoła rolnicza dublańska przez cały czas istnienia swego przechodzi przez ciągłe zmiany. Ile tam było różnych programów! Ile osób przesunęło się jak w kalejdoskopie! Jakieś fatum cięży na niej, zmuszające do ciągłej zmiany poziomu roboty. Teraz znowu ma być postanowionem, że studentem może zostać tylko ten, kto wykaże się znajomością wszystkich przedmiotów wchodzących w zakres całego gimnazjum albo szkoły realnej. Tej zmianie tylko przyklasnąć można, bo ona bez żadnej wątpliwości przyczyni się do postawienia szkoły na wyższem stanowisku. Zakład ten rozwijałby się pomyślnie, bo kraj go potrzebuje, gdyby się nim zanadto nie zajmowali nieprzyjaciele »*propedentyki*« (sic), wrogowie »*halogenów*« i »*oxygenu*«.

* * *

Od P. Jana Lama otrzymailśmy następujące pismo:

Szanowny Redaktorze!

W kronice 8go Nru *Tygodnia* przytoczono mowę posła Meyera, mianą w parlamencie nie-

mieckim o dobroczynnym wpływie piwa na naród niemiecki.

Niemcy nie wynaleźli piwa, ale wzięli je od Słowian, którzy wcześniej od nich byli rolnikami. Poseł Meyer także nie wynalazł swojej teorji o dobrych skutkach piwa, wydrukował ją bowiem *Tydzień* jeszcze w r. 1875 w mojej powieści p. t. „Idealiści", gdzie w tomie pierwszym str. 115 wyłożone jest zapatrywanie się p. Skryptowicza na ten przedmiot z punktu widzenia etnograficznego i historjozoficznego. Utrzymuje między innemi p. S., że Anglicy i Niemcy, ponieważ najwięcej piją napojów słodowych, odznaczają się karnością i duchem obywatelskim *(Gemeinsinn)*. Utrzymuje on dalej, że póki u nas na stole szlacheckim przeważało piwo, póty Polska rosła jako państwo, a upadać zaczęła odkąd wzięliśmy się do wina. Oto są jego własne słowa:

„Jak długo piliśmy piwo, duch obywatelski miał u nas przewagę nad kierunkami indywidualnemi, a państwo konsolidowało się i wzrastało. *Piwiarze* dali się ująć w karby posłuszeństwa Łokietkowi i Kazimierzowi Wielkiemu, *piwiarze* przeprowadzili unję z Litwą, a jeżeli w tych dawnych czasach razi nas za Zygmunta Starego wrzawa „Kokoszej wojny" na błoniach pod Lwowem, przypisać to należy okoliczności, iż na Rusi jako sąsiadującej z Węgrami, wino rozpowszechniło się bardziej, niż w innych częściach kraju."

„Z wina poszło: liberum veto, zrywanie sejmów, konfederacje i rokosze; z piwa — statut wiślicki, zwycięstwo pod Grunwaldem i unja lubelska".

Nie mogę obszerniej cytować sam siebie, ale dosyć już tego, ażeby dowieść, że *Tydzień* o 5 lat wyprzedził p. Meyera. Szkoda, że nie wzięliśmy przywileju na ten wynalazek, zwłaszcza, że jak w każdym paradoksie, tak i w tym, jest nieco prawdy. Wyprzedzili zresztą i mnie i p. Meyera inni pisarze, rozumiejąc, równie jak my, „in's Blaue hinein", o wpływie pokarmów i napojów na charakter i zdolności narodów. Jeden np. dowodzi, że mięsożerni Anglicy, mimo śmiesznie małej liczby swojej, musieli podbić Indyjczyków, żywiących się roślinami, a więc słabszych. Tymczasem Anglicy zdobyli Indje nie na Braminach karmionych ryżem, ale na Muzułmanach, którzy jedzą mięso, z wyjątkiem wieprzowiny. Inny znów zwraca uwagę, że najmniejszy przyrost ludności, a nawet stopniowe zmniejszanie się jej, daje się dostrzegać w Europie u dwóch narodów, które najwięcej produkują i piją wina, t. j. u Francuzów i Madiarów. Tymczasem, w Węgrzech oprócz Madiarów, nie żałują sobie wina Słowacy, Niemcy, Żydzi, Chorwaci, Cyganie i Wołosi, a mnożą się według przykazania bożego, i nawet ex propria diligentia, poza przykazanie — tylko madiarska rasa gaśnie powoli. We Francji zaś słaby przyrost ludności zdaje się być raczej skutkiem obyczajów i oszczędności wiejskiego ludu, niż innych jakich przyczyn. Szwedzi, Duńczycy, piją często za wiele wódki, i nie mają u siebie nic, coby p. Meyer nazwał „czemś rozsądnem do picia", a są przecież narodami bardzo moralnymi i powodującymi się prawem *(law-abiding)*, podczas gdy Hiszpanie i Włosi, 1. *mają* dobre wina, 2. słyną z trzeźwości, a 3. są trudniejszymi do rządzenia od innych narodów, nie wyjmując Moskali. Spiskują, robią rewolucje, i trudnią się bandytyzmem!

Zważywszy to wszystko, darowuję p. Meyerowi teorję p. Skryptowicza, jako nie ze wszystkiem pewną, i konstatuję tylko, że w *Tygodniu* pojawiła się ona wcześniej, niż w parlamencie niemieckim.

Chciej przyjąć, szanowny Redaktorze i. t. d.

Jan Lam.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Pan Wacław Szymanowski napisał dramat jednoaktowy wierszem p. t.: „Ostatnia próba" i w tych dniach złożył go do dyrekcji teatrów. Jak słyszeliśmy, utwór ten posiadający wiele zalet formy, ma odznaczać się także bardzo oryginalnym pomysłem.

*** Włodzimirz Spasowicz bawi obecnie w Warszawie.

*** Monografja Jerzego hr. Steckiego p. t: „Miasto Równe", ukazała się w oddzielnej odbitce.

*** Nakładem Filipa Sulimierskiego wyszła z druku jadna z najnowszych prac znanego autora włoskiego, Edmunda de Amicis, p. t.: „Holandja, wspomnienia z podróży".

Przekładu dopełniła pani Marja Siemiradzka, siostra znakomitego artysty, która już przysłużyła się niejedną tego rodzaju publikacją, odznaczającą się umiejętnym wyborem i wiernem oddaniem myśli autora.

*** „Nowe mody paryskie." Pod tym tytułem wychodzić będzie od 1. kwietnia r. b. nowy dwutygodnik mód, wyposażony działem literackim.

Kierunek wydawnictwa obejmie pani Ratyńska, przy pomocy jednej ze znanych naszych powieściopisarek.

*** Daudet pracuje nad nową powieścią, która będzie nosić tytuł: „Trousseaux et Layettes"

*** „Kosmos", czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika — w Zeszycie I. z r. b. zawiera: 1. Wyciąg z protokołów posiedzeń towarzystwa. 2. Przyczynek do wiadomości galicyjskiego diluvium, podał dr. Emil Dunikowski. 3. Piśmiennictwo przez M. Wierzbowskiego. 4. Kronika naukowa przez R. Zukera. H. Wielowiejskiego i M. D. Wąsowicza. 5. Wiadomości bieżące.

*** Nr. 9 „Gazety rolniczej" z r.b. zawiera: 1. Periculum in mora, przez Al. Trylskiego 2. Ziemniaki, przez J. R. Wielanda. 3. Kilka słów o chowiu koni, przez J. Kubickiego. 4. Pogadanki rolniczo-mechaniczne, przez profesora T. Rylskiego. 5. Sprawozdanie ze zwiedzenia niektórych majątków krajowych przez dr. Kowalewskiego. 6. Listy z Niemiec przez T. Lemiesza. 7. Przegląd Polityczny. 8 Wiadomości bieżące. 9 Rozmaitości. 10. Bibljografja i krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: Z za świata, przez Klemensa Junoszę.

*** Malczewski czy Malczeski?...

Kwestja pisowni nazwiska twórcy „Marji" była dotychczas nierozwiązaną.

Jedni pisali to nazwisko przez *w*, inni znów opuszczali w niem tę literę.

Otóż pismu Warszawskie podając pewien akt urzędowy, znaleziony obecnio w papierach po byłej komisji wojny pozostałych, rzucają na sprawę tę dostateczne światło.

Na akcie tym urzędowym, noszącym datę d. 12 grudnia 1815 r., położony jest podpis: „Adam Malczewski" porucznik sztabu kwatermistrzowstwa.

Tak więc, ze względu na urzędowy charakter dokumentu, sprawa zostaje wyjaśnioną.

Nauka.

*** Nakładem „Gazety lekarskiej wyszło w Warszawie dzieło Kuszmaula p. t. „Zboczenia mowy," w tłumaczeniu polskiem dra Adama Bauretza.

*** „Litewsko-rosyjski słownik." Akademia nauk w Petersburgu przystąpiła do druku litewsko-rosyjskiego słownika p. Juszkowa.

*** Uniwersytet Monachijski ustanowił nagrodę 3000 marek, mającą być przyznaną w r. 1883 autorowi najlepszej historji drzeworytnictwa w Niemczech.

*** W Brukseli rozpoczęły się obrady jeneralnego komitetu międzynarodowego kongresu nauczania

*** „O szkole" rolniczej w Wschowie donosi „Ziemianin," że stanowczo już jest postanowionem przeniesienie tego zakładu do innej miejscowości w księstwie, kłórej wybór poruczony jest regencji za współudziałem radcy tajnego dra Thiela docenta dla spraw rolniczo-naukowych w ministerjum rolnictwa. Projektowane są podobno na szkołę rolniczą miasta: Poznań, Szamotuły, Kurnik, Kościany i Grodzisk. Którekolwiek miasto zostanie wybranem, szkoła rolnicza wtedy tylko może rachować na liczny udział ze strony uczniów polskich, jeżeli język polski należycie w niej uwzględniony będzie, czego dotąd nie było i szkoła co do frekwencji uczniów szwankowała.

Sztuki piękne.

*** Dzieci goniące motyla" — taką nazwę nadał Siemiradzki najnowszemu swemu obrazowi, który wkrótce nadejdzie do Warszawy,

*** „Kleopatra", znane a pełne wysokich zalet płótno Franciszka Żmurki, znalazło już nabywcę w panu R.

*** „Taniec pośród mieczów" Siemiradzkiego, znajduje się w tej chwili na wystawie w Berlinie.

*** Na wystawie warszawskiego towarzystwa zachęty sztuk pięknych umieszczone zostały w ciągu ostatnich dwóch tygodni następujące obrazy:

Kazimierza Alchimowicza „Okrężne na Litwie", Edwarda Domaniewskiego „Konie na stepie". Emilji Dukszyńskiej „Portret damy", Tytusa Maleszewskiego „Portret mężczyzny" oraz „Typ" (Mieroszewski), Krystyny Prusinowskiej „Owoce" (akwarella), Rittora von Benza „Bitwa pod Metz", Stanisława Roztworowskiego „Trzej młodzieńcy w piecu" tudzież Wandalina Strzałeckiego „Na łowy".

Do salonu rzeźb nie przybyło w tym czasie nic nowego.

*** Galerja w Luwrze paryskim otrzyma „Kąpiącą się" Ingresa. Obraz ten był własnością Izaaka Pereiry, znanego wydawcy „Liberté" i został sprzedany rządowi w cenie kosztu za 60,000 fr.

*** Brukselski korespondent dziennika „Pall-Mall-Gazette pisze: „Wedle sprawozdania przedstawionego radzie municypalnej w Antwerpii pozostawił Rubens 2,235 obrazów, między którem było 288 szkiców. Prócz tego jest jeszcze 488 rubensowskich rysunków. Z pomiędzy obrazów i szkiców 829 wcale nie repredukowano; 670 dzieł mistrza znanych jest jedynie z reprodukcji, a 293 zupełnie zaginęło. Ponieważ kongres artystyczny 1877 r. objawił życzenie, aby miasto zebrało wszystkie dzieła Rubensa, komitet, któremu to powierzono oznajmił, że miasto zmuszone by było zreprodukować 536 obrazów i pozyskać 921 odbić, aby zadośćuczynić żądaniom kongresu. Ogółem liczba odbić wynosi 1,947, do których dodać jeszcze należy 653 fotografji. Koszta odbić obliczono po 10 fr. za sztukę, zaś fotografji po 60 fr. Do urzeczywistnienia całego projektu potrzeba 30,000 fr. Rada miasta Antwerpii postanowiła poświęcić rocznie 1,500 fr. na zakupienie druków i zdjęcie fotografji; zaś państwo takąż samą sumę ofiarowało. Tak więc za lat 10 zbiór ten zostanie uzupełniony o ile fizyczne przyczyny temu nie przeszkodzą. Fotografie zdjęte zostaną węglem, a zbiór cały umieszczony zostanie w nowem muzeum antwerpskiem, którego budowa wkrótce rozpoczętą zostanie.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Wychodząca obecnie „Real-Encyclop. d. ges. Heilk. w zeszycie 6 i 7. w art. „Apothekerwesen" pomieszcza ciekawe dane statystyczne o ilości aptek w różnych krajach oraz o stosunku ich do liczby mieszkańców.

Widać więc ztamtąd, że najwięcej bezwzględnie aptek znajduje się w Ameryce północnej (14,800), dalej w Anglji)11-017), Francji (5.739). Prusach (2.744), Austro-Węgrzech (1.978), i Rosji (1.549), najmniej zaś w Norwegji (70) i Danji (124).

W porównaniu z liczbą mieszkańców najlepszy stosunek przedstawia Anglja, tam bowiem na 1 aptekę przypada 2.360 mieszkańców, następnie Ameryka północna (na 1 aptekę 2.770 mieszk.), Holandja (na 1 aptekę 4.590 mieszk.), Francja (na 1 aptekę 6.319 mieszk.), Szwajcarja, wreszcie państewka niemieckie; najgorszy stosunek znajdujemy w Rosji (na 1 aptekę 46.308 mieszk.), w Norwegji (na 1 aptekę 25.000 mieszk.), w Szwecji (na 1 apt. 19,186 m.), Austro-Węgrzech, Danii itd.

Galicja stoi niżej od całych Austro-Węgier, kiedy bowiem ogólny stosunek w państwie jest na 1 aptekę 18.105, w Galicji tymczasem wypada na 1 aptekę 25.682 mieszk.

⁂ Próba przewożenia z Australji do Anglji mięsa świeżego powiodła się. W tych dniach parowiec „Strath Leven“ przywiózł pierwszy ładunek, składający się z 70 wołów zabitych, 500 owiec i 40 centnarów masła. Zarówno mięso jak i masło miało smak wyborny. Okręt pozostawał w drodze blisko miesiąc.

Odkrycia i wynalazki.

⁂ Gould, dyrektor obserwatorjum w Cordowie w republice argentyńskiej, odkrył nowego wielkiego kometę.

⁂ W Rzymie, przy budowie kanałów na ulicy Sallara odkryto szczątki starożytnej świątyni.

⁂ W Tortrose (na wyspie czarnej w Szkocji) odnaleziono przeszło 1000 sztuk monety srebrnej z czasów króla Roberta III, który panował od 1390 do 1406.

⁂ W Montewideo w porcie wydobyto z dna dwie sztaby srebra, ważące po 700 funtów każda. Na jednej z nich znajduje się rok 1772. Przypuszczają, iż sztaby te należą do skarbu przywiezionego z Chili w 1772 przez okręt „Aurora“, który zatonął w porcie podczas silnej burzy.

Zjawiska przyrody.

⁂ W Węgierskiem mieście Kaposvar obserwowano w dniu 8. b. m. o godzinie trzy kwadranse na dwunastą, silne trzęsienie ziemi. Trzęsieniu, które poruszyło sprzęty w domach, towarzyszył łoskot podziemny. Nawiedziło ono też kilka innych okolic hrabstwa Samogy.

⁂ Wybuch Wezuwjusza znów się zwiększył; lawa płynie bardzo obficie po stokach góry.

⁂ „Z Kalifornii“ donoszą: Podczas gdy jeden z mieszkańców Kanzas-City spędzał bydło z pola, spadł nań ukośnie acrolit, który zgruchotawszy wprzód wierzchołek klonu, ugodził go w łopatkę, urwał mu kawał deki piersiowej i zagrzebał następnie w ziemi. Podług wiadomości podanej w „New-York-Time,“ aerolit ów miał kształt okrągły, i wielkość „szczenięcia,“

„KIN-KU-KI-KUAN“.

Przyzwyczailiśmy się o chińczykach mówić o tyle, o ile naród ten ma związek z herbatą, porcelaną, przesadą konwencjonalnych wymagań, lub zagorzałym konserwatyzmem.

Nazwano ich, i to dość trafnie, zgrzybiałemi dziećmi.

Fantazja z dziecięcego wieku nie rozwinęła się w ciągu długiego żywota tego narodu, jak raz stanęła w miejscu na pewnej wyżynie, tak też pozostała na niej, nie posuwając się dalej.

Jak było za Konfucjusza, tak jest i dzisiaj; umysłowa produkja ich polega na przeżuwaniu, zbieraniu i objaśnianiu starych zapasów, nieożywionych żadnym nowym nabytkiem, któryby odmienił cechę konserwatywną ich literatury.

Prawda, iż niektórzy badacze umysłowego ruchu w państwie niebieskiem, a szczególniej poezji, dostrzegają w niej jakby ślady tęsknoty za postępem, coś z westchnienia starca patrzącego na wrzące życie i młodość, ale zwiędłe usta uśmiechnąć się nie mogą, z zapadłej piersi silniejszy głos się nie wydobędzie, przygasłe oko skrą nie zaświeci; paraliż ducha, wskutek długiego obezwładnienia.

Jeżeli naród cały zdobędzie się kiedy na zerwanie z dotychczasową kulturą, jeżeli otrząśnie się z pleśni wiekowej, wyrwie z zastoju, wówczas i muza chińska, wyschnięta, zwątlona, bezsilna, jak derwisz kręcąca się aż do obłędu w ciasnem kółku od wieków, odżywi się, podniesie i może jeszcze i podleci ku wyżynom ideału.

Dzisiaj poezja chińczyków jest tylko parafrazą starych tematów, które od najdawniejszych stuleci czerpią ich poeci z nagromadzonych zasobów.

Poezja ludowa, gubiąca się gdzieś w zamierzchłych wiekach przedchrystusowych, dostarczała i dostarcza dotąd materjału do przetwarzania na mniej lub więcej odmienną formę odwiecznych tematów.

Świat cywilizowany, europejski od bardzo niedawnych stosunkowo czasów zajął się zbadaniem i poznaniem natchnień muzy chińskiej; ją ostatnią niejako wprowadził na ten nowożytny Olimp literatury powszechnej.

Przyczyną tego była nieznajomość filologji i języka chińskiego; w trzecim dziesiątku naszego wieku dopiero zaczęto się tam gorliwiej, naukowo zajmować.

Inicjatywę dali Francuzi, jakkolwiek przyznać należy, że Goethe w r. 1827 zwracał już uwagę przyjaciela swego, Eckermanna, na romans chiński i bogactwo utworów tego rodzaju, które już istniały, gdy przodkowie dzisiejszych Niemców teutoburskie lasy jeszcze zamieszkiwali.

Goethe wszelako sam zapoznał się z tą literaturą za pośrednictwem dopiero dwóch autorów francuskich, Abla Remusat'a i Stanisława Julien'a.

Zajmowali się także i Anglicy dość żywo nowellistyką chińską, ale owoce ich badań dla naszego ogółu pozostały mało przystępne, gdyż nie wychodziły po za granice naukowych towarzystw i poważnych bibljotek.

Francuzi pierwsi spopularyzowali romans chiński przekładami tego rodzaju, jak: *„Ju-kiao-li ou les deux cousines 1826“ Ping chan-ling-chen, les deux jeunes filles lettrées,“ „Le vendeur d'huile“* itd.

Koroną wszelako wszystkich tych publikacyj jest zbiór nowelek chińskich pod tyt: «Kin-ku-ki-kuan», to znaczy: «Nowe i stare baje», — coś w rodzaju «Tysiąca i jednej nocy».

Jest zbiór z czterdziestu rozdziałów złożony, każdy rozdział stanowi jedną powieść, — wydawca czy autor, nazywa się Mi-Ramza; dzieło to pochodzi widocznie z połowy XV wieku p. Chr. i dzisiaj jeszcze ma szerokie rozpowszechnienie w Chinach, a bajarze publiczni dla słuchaczy po wszystkich większych miastach z tego dzieła czerpią główne motywa swych opowiadań.

Współczesnym nam i najgorliwszym obecnie pośrednikiem między Europą a literaturą chińską jest przełożony oddziału wschodniego w wiedeńskiem *Britich Museum*, dr. Samuel Birch.

On to przyswoił też angielskiemu językowi owe «Stare i nowe baje» według pierwotnego ich tekstu, a p. Ed. Griesebach z angielskiego trzy pierwsze powiastki na niemieckie przełożył.

Przedstawiają one w sposób zajmujący trzy temata z dziedziny uczuć ludzkich: przyjaźń, miłość i wierność małżeńską.

Pierwsza zaraz z tych powieści nadaje się do ciekawego studjum nad wspólnością tematów pewnych we wszystkich niemal literaturach, najbardziej z sobą różnych i oddalonych.

Do takich właśnie należy powieść o «wdowej z Efezum» którą jeszcze Petroniusz przekazał potomności, jako wzór płochości, niestałości i słabości kobiecej.

Znana to historja o owej żonie, która odstępuje młodemu żołnierzowi stojącemu na warcie przy trzech szubienicach, ciało własnego męża, aby go wybawić z kłopotu i uratować od ciężkiej odpowiedzialności za to, iż pozwolił rodzinie jednego z wisielców ukraść trupa w nocy.

Matrona efezka w grobie swego małżonka poznaje się z owym strażnikiem i wysłuchawszy jego skargi, oddaje mu ciało męża nieboszczyka, a sama pociesza się po stracie, oddając siebie żywemu następcy.

Bajkę tę z mniej, lub więcej znaczną domieszką moralną obrabiali na swoją manierę rozmaicie pisarzy włoscy, francuscy i angielscy.

Nawet Lessing próbował swego pióra w r. 1748 na tym samym temacie, ale nie bardzo szczęśliwie.

Dla przyszłego obrabiacza tego samego motywu, który o wierności niewieściej zechce jeszcze jedno słowo dorzucić w literaturze tego działu, przydać się może oryginalne zakończenie chińskiego warjantu.

«Skoro Czwang-Sang (ów mąż umarły) — opiewa powieść wspomniana w zbiorze nowel Kin-ku-ki-kuan — obudził się z letargu i żonę wiarołomną na gorącym uczynku przydybał, przedstawił jej fałszywej duszy tę czarną zdradę tak dobitnie i żywo, że kobieta z rozpaczy obwiesiła się sama».

«Mąż zaś na glinianej fletni wygrał swą gorzką skargę i pożegnanie, fletnię potem rozbił, chatę swoją podpalił, poszedł ku zachodowi i nie ożenił się już nigdy powtórnie.»

Druga nowelka nosi tytuł: «Dozgonni przyjaciele» i osnuta jest na mycie o Orescie i Pyladzie, ale ogólno-ludzki motyw w niej tak bardzo przeładowany został chińszczyzną, że potrzeba chyba samemu być synem słońca, aby w tej powiastce zasmakować.

Trzecia za to odznacza się delikatnością odcieni i prawdą w nakreśleniu bohaterki; tytuł nowelki: «Wieczna zemsta panny Wang-Kiau-Luang».

Treść jest następująca:

Młode dziewczę przebywa często w ogrodzie ze swą służebną: tam z za muru dopatrzył jej młody student, urodnej postaci — spostrzegłszy go, dziewczyna umyka zapłoniona i gubi swój woal z lekkiej gazy.

Młodzieniec znajduje go i zabiera z sobą.

Służebna prosi nadarmo o zwrot, młodzian przyrzeka zwrócić zgubę, ale do własnych rąk właścicielki, tymczasem poseła jej poemat na jej cześć napisany.

Panienka irytuje się takiem postępowaniem, ale odpowiada wierszem na wiersz; zawiązuje się tedy rymowana korespondencja.

Ciotka dziewczyny dowiaduje się o romansiku, ale sama złowiona gładkiemi słówkami młodego bałamuta pozwala na dalszy stosunek, a nawet godzi się na to, aby młodzian u ojca panny postarał się o pomieszczenie w domu.

Miłosna para widuje się teraz w nocy, w obecności ciotki Tsau wszelako; nareszcie przychodzi do tego, że oboje obwiązują sobie palce u nóg nitką czerwoną na znak zaręczyn.

Piękna Wang-Kiau-Luang uszczęśliwia sobą swego kochanka i tak żyją pewien czas w niebiańskim zachwycie.

Ale los powołuje go w interesach familijnych do domu jego rodziców; opuszcza narzeczoną, wyjeżdża i nie wraca, ani nie pisze więcej, bo ojciec ożenił go z inną bogatą i ładną dziewczyną.

Zawiedziona tymczasem pisze najczulsze listy do swego uwodziciela i trzy razy wyseła posłów do niego...

Wszystko nadaremno!

Niewierny kochanek unika z dwoma spotkania, trzeciego przyjmuje obelgą.

Ojciec dziewczyny opuszczonej radzi jej, aby sobie innego męża wybrała, ale ona odpowiada:

— Człowiek bez wiary jest tylko zwierzęciem — wolę, aby mój narzeczony mnie oszukał, aniżelibym miała w małżeństwie drugiem obrażać bogów.

Gdy wszelako trzeci poseł odnosi jej woal z gazy, który wiarołomny odesłał kochance dawnej za całą odpowiedź, «wówczas oburzenie zawrzało w jej piersiach i rumieniec oblał jej urodziwe lica».

Trzy dni płakała i cały woal łzami zwilżyia; miłość zmieniła się w nienawiść, z dzieweczki łagodnej stała się furja zemsty.

Zapieczętowała wszystkie listy, wszystkie upominki, całą intercyzę przygotowaną i z wierna opowieścią swojego losu odesłała cały ten pakiet do publicznegc sądu w mieście, w którym mieszkał jej uwodziciel.

A sama obwiesiła się w komorze, gdzie tyle słodkich chwil spędziła z ukochanym.

Sąd zaś zawezwał oskarzonego, zbadał sprawę i wydał wyrok, aby winny plagami ubity został «dla przestrogi wszystkim takim łotrom bez serca, jak on sam».

Treść Nr. 10.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.